

WIEŚ SLYSTROWANA

SIERPIEŃ-1912





„J. SOSNOWSKI”

wł. C. LISOWSKI

WARSZAWA, Trębacka Nr 9. Telefonu Nr 47-47.

poleca wielki wybór DUBELTÓWEK — fabryk:

WESTLEY-RICHARDS & Co Ltd., London; W. W. GREENER, London; G. DEFOURNY-
SEVRIN, Liège; MANUFACTURE LIÉGEOISE D'ARMES A FEU Liège

SZTUCERY: J. SPRINGERA, HEYMA, MAUSERA,
WINCHESTRA, FRANCOтта i innych

..... Cenniki na żądanie.



FIRANKI DYWANY Materje meblowe
PORTJERY

Własnej fabryki

Z. Kiltynowicz

N^o 16 (wprost
Erywańskiej)

ul. Mazowiecka N^o 16.

TOWARZYSTWO ARCYJNE

„KOMPAJNJA ELEKTRYCZNOŚCI W WARSZAWIE”

ODDZIAŁ INSTALACJI, WARSZAWA, BERGA Nr 6.

TELEFONY: { 78-35 gabinet szefa,
86-30 buchalterja i magazyn,
83-49 biuro techniczne i montażowe.

Wykonywa i przyłącza wszelkie instalacje
siły i światła do warszawskiej sieci miejskiej.

Skład żyrandoli, lamp i przyrządów
elektrycznych dla prądu miejskiego.

HOTEL BRISTOL w WARSZAWIE

250 pokoiów komfortowych, elektryczność, centralne ogrzewanie, windy systemu „OTIS”, telefony, pierwszorzędna restauracja etc. etc.

Wies' ilustrowana



URODA ŻYCIA.

CONTRA SPEM..!

„...jeżeli Stefan Żeromski pozyskał „rząd dusz“, o który niegdyś z Panem walczył Konrad, stało się to głównie dzięki owej bolesnej rozkoszy, jaką młoda generacja czuła, odnajdując w jego pismach ból swój gorzki, rozdarcie i wiarę — *contra spem*...“

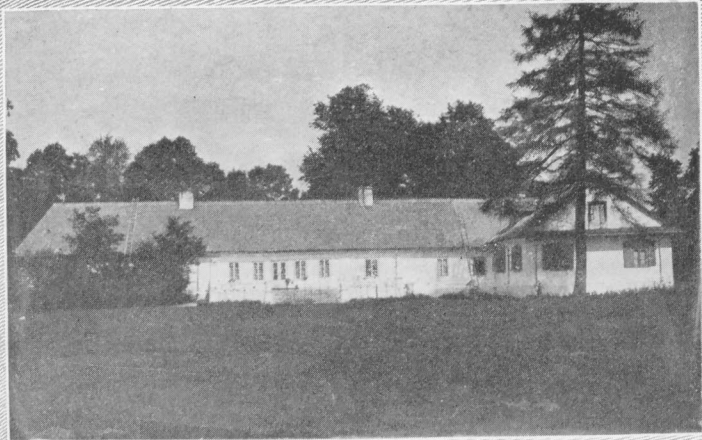
Feldman napisał prawdę. Po okresie, w którym zmielone na miazgę pył w warsztatach „pozytywnej pracy“ życie nasze potrzebowało „pokrzepienia serc“ przysłyżły znów jałowe lata przedziwnie rosnącej obojętności, coraz krótszych i płytszych odruchów ducha kamieniejącego w martwicy złudzeń. Zastygał nie puls życia, ale narodowego bytu szpik.

Oczy otwarte na odgłos bohaterskiej fanfary lat dawnych, brzmiącej na cześć obrońców Zbaraża, Częstochowy, Kamieńca Podolskiego, przymykały się znów sennie, „Serca pokrzepił“ na krótką tylko chwilę Sienkiewicz; wiara w cud narodowej doli z dopuszczenia Tego, o którym jeden z największych naszych duchów śpiewał, że

„...nie jest on tylko robaków
„Bogiem i tego stworzenia, co pełza,
„On lubi huczny lot olbrzymich ptaków
„A rozhukanych koni on nie kielża!
„On piórem z ognia jest dumnych szyszaków
„Wielki czyn często go ubłaga, nie łąza!

— zgasła...

Trzeba było innego, silniejszego bodźca, by zbu-



1. Łaziska, gub. Warszaw. Dwór. 2. Dwór w Piołuncie. 3. Inflanty polskie. Dwór w majątku Zapasiskach, Witebs. g. 4. „Murowanka” Mickiewicza, w Tuhanowiczach.

dzie śpiące, ożywić i pchnąć naprzód martwiejące polskie życie. Trzeba było rozpalonego żelaza, by szarpnąć dusze nikczemniejące w pół-sytości ciał. Z oparów wałęsających się nad tą fizyczną wegetacją wstała tęsknica i rozdarcie i gorycz... i padł w nie grom „Wesela”.

Literatura biła w życie.

Obok Wyspiańskiego stanął Żeromski.

Ozwały się „Echa leśne”, w ciasne, ciemne, duszne zaułki tajnych nędz życia padł jaskrawy „Promień”, jęknęli „Ludzie Bezdomni”, w wysychające piersi narodu kamieniem uderzyły „Syzyfowe prace...”

Na zdumione, przerażone głowy spadł nam olbrzymi, tragiczny, ale niezetlałymi w dziejowym ogniu djamantami przetkany kłęb „Popiołów”, bluznęły w twarz krwią i ropą haniebnych ran „Dzieje Grzechu”.

Wszystkie w żałobie po „wielkich czynach” przeszłości chodzące, w podłocie terażniejszości konające, bólem gorzkim przeżarte serca rzuciły się do stóp pisarza, co na sztandarze swym wypisał wprawdzie „Rozdziobią nas kruki, wrony!..” ale męką i wyzwoleniem „Walgierza Udałego” wskazał z pod tego sztandaru nadziei i zbawienia drogę, smutny, cichego bohaterstwa szlak...

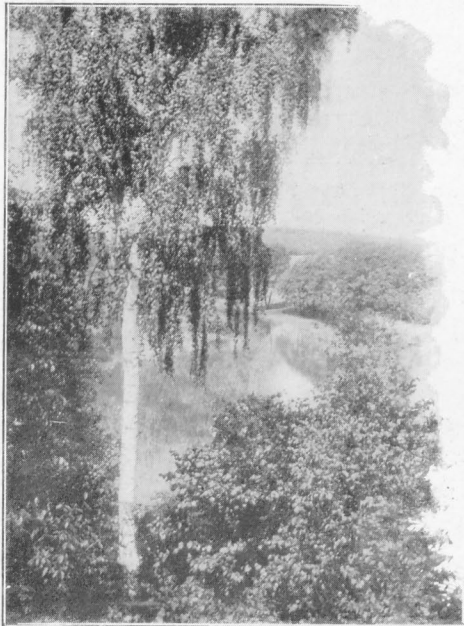
Wszystkim, co uwierzyli w jego prawdę, pozwolił Żeromski *spereare contra spem*.

Jego nadzieja trudna jest i do zdobycia ciężka — jak jego wiara.

„Aryman mści się...” a ziemia *jest* jego królestwem. Panuje na niej zło; prawem życia jest ciemność, nie blask — chwila, nie cel odległy. Człowiek jest zlepkiem dwóch pierwiastków — dążenia do światła i siły wszystko niszczącej miłości; między nimi wre wiekiusta walka, a człowiek nosi ją w piersi od kolebki do grobu.

Ale na te prawa twórczy duch Żeromskiego znalazł w życiu inne, silniejsze.

Wyzwolenie ducha — choćby kosztem zdeptanego ciała, odrzuconego szczęścia; zło według niego jest tyl-



Fragment z Rogowa, wł. pp. Wilskich.

ste, czoła dumne, dusze szukające wyjścia podniosły się ku tej stromej skale nieśmiertelnej glorii na której stawał Żeromski chram wiekuistego zwycięstwa ducha.

Bo zaprawdę, lepiej i dostojniej życie całe wyczerpać w boju o takie wyzwolenie i choćby paść przed celem z pękniętą piersią, niż dźwigać na sobie terażniejszości pobielany grób i mieć „oczy otworzone w grobie...”

Bo zawsze, dla najsłabszej nawet woli, dla najkruchszych serc były jeszcze te dwie alternatywy. Więc wolno było nadzieję mieć, nawet w tej beznadziejności zła.

Przyszła chwila bieżąca i z pod pióra pisarza, co takie przykazy bytu już zatknął pośród narodu, wyszło nowe ostatnie jego dzieło — powieść „*Uroda życia*”.

Dzieło takiego jak Żeromski artysty ma swoją własną, odrębną już, bo utwierdzoną szeregiem poprzednich arcydzieł skalę oceny krytycznej w tem, co dotyczy jego artystycznego piękna, jego twórczej myśli i wykład-

ko jedno: krzywdą bliźniego; „człowiek, jest to rzecz święta, której krzywdzić nie wolno; — granica krzywdy leży w sumieniu, w sercu ludzkim; czcuj człowieka... oto nauka”.

Więc serca czy-

ników siły tej myśli. Na taką ocenę zamało miejsca w ramach niniejszych uwag. Ale u nas literatura ostatnich lat, posiadała jeszcze inne, bardzo doniosłe znaczenie. Przywykło już nasze społeczeństwo urabiać swój pogląd na świat i życie, na dolę naszą, na zagadki narodowego bytu, według wskazań współczesnej, tak potężnie rozwiniętej powieści, a Żeromski ten „rząd dusz” posiadał w najwyższym może stopniu z żyjących naszych pisarzy.

I oto „*Uroda życia*” pozbawiła nas nagle nadziei wydobytych z najszlachetniejszych, najczystszych pierwiastków jego poprzednich dzieł.

Ta powieść zwraca się — *contra spem*.

I nie dlatego by Żeromski zaparł się nagle nadziei i wiary własnej; nie dlatego by chciał w sercach naszych wypalić tej nadziei ślad, bojąc się, że nam lada cień wystarczy, aby zapadać w bierność; nie dlatego nawet, by ostatnie chwile naszej doli uderzyły weń spiętrzoną falą zwątpienia — on umie patrzeć ponad grzebienie tych pian! — ale po prostu dla tego, że ścieżka życia jego bohatera jest rozpaczliwym, nieusprawiedliwionym żądnięm logiką przyczyn, zygzakiem duszy zbłąkanej w dziwnem szaleństwie, jakby w prostracji.

Piotr Rozłucki, polak wychowany na rosjanina, przyjeżdża na polską ziemię i znów zostaje polakiem. W dodatku polakiem gorącym, wiernym nowym swym ideałem do ostatniego tchnienia. Tego cudu zmartwychwstania dokonywa na nim ziemia, sama ziemia, biedna, szara, okaleczona ziemia polska. Wierność Rozłuckiego dla niej jest tak silna, serce tak się w nim hartuje, że zabija świadomie to, co drugim pierwiastkiem swej duszy — miłością mężczyzny — aż do zapamiętania się ukochał: swoje szczęście z Tatjaną, córką rosyjskiego generała. Nie ztracił się w tej miłości, zwyciężył ją i — ponieważ nie chciała pójść za nim, stracił ją ze serca jak kurz z obuwia. Odszedł sam. Cały nadludzki ból mężczyzny z powodu jej utraty złożył w ofierze drugiemu, wyż-



Chata wiejska w Wasylówce na Podolu (fot. am. Erazma Zieleńskiego).



Brzozy



Z lubelskiego (fot. am. p. B. Rukasza).

(z teki St. Jurkowskiego).

szemu przeznaczeniu męzkemu: idei. Wspomnień nie mógł już wydrzeć z duszy — nawet nie próbował. Żarły go one i przepalały serce na popiół. Została tylko idea wierności dla innych, droższych popiołów, co spały w głuchym, leśnym kącie polskim pod spróchniałym, od ziemi już oderwanym, a jednak upornie się jej trzymającym krzyżem. I przyszła obserwacja życia, rewizja ideałów, smutny bilans i szalony odlot. Ale odlot z myślą powrotu. Minęły lata. Rozłucki wrócił uzbrojony w — aeroplan swego wynalazku...

Wzbił się na nim w przestworza i — nie dosięgnął już polskiej ziemi...

Dlaczego? czy burza go strąciła z podniebia? wicher jakiś, przeciw któremu za słabe człowiecze siły? Nie. Po prostu brakło mu — benzyny. Nie obliczył zapasu na lot zapamiętały. Wpadł w morze, wyratował go pancernik floty niemieckiej. Leżąc nagi na pokładzie dojrzał ląd bliski. I pytał o nazwę.

— *Pommern!*

— Pomorze... wyszep-tał człowiek nagi,

„Drgnęło, usłyszawszy ten dźwięk półkole oficerów, złowrogo zaświeciły oczy...”

I to są ostatnie słowa książki.

Zaprawdę! czy warto było wyrzekać się szczęścia? Sto lat temu człowiek-olbrzym, kiedy zapadała się pod stopą jego krawędź za wrotnego szczytu, wyrzekł druzgoczące wszelką omyłkę bohaterów słowa: *du sublime au ridicule il n'y a q'un pas...*

Zapomniał o tych słowach Żeromski pisząc dzieje Piotra Rozłuckiego. Ale cisną się one nieodpartą siłą, z rozpaczą wyrzutu do mózgu i do serca po przeczytaniu „Urody życia”.

Czy można wierzyć w wyzwolenie ducha, który dochodzi do obłądu?.. Czy można mieć nadzieję, kiedy Rozłuccy giną z własnego szaleństwa?.. Bo przecież to nie jest — ciche bohaterstwo! To aberracja!

Symbol? wszystkie dotychczasowe symbole Żeromskiego tłómaczyły się zupełnie jasno, były proste, jak jego wiara. A zresztą symbol nie wyłącza logiki. On jej nawet wymaga. Jest w tej książce jeden symbol: krzyż, co spróchniał a stoi i ziemi się trzyma... To też taki mocny i jasny, że od razu uderza w oczy i w serce... Zresztą dzieło Żeromskiego jest powieścią, a nie bajką. Jest powieścią, której tło, osoby, charakterzy zbyt silnie wplecione są przez autora w kanwę rzeczywistego, współczesnego życia, by można zapomnieć o koniecznościach logicznych, jakie nasuwa takie właśnie ich przedstawienie.

Naród, a przynajmniej wielu wśród niego z powieści Żeromskiego przywykli brać wskazania duchowe, nieomal polityczne. Ta właśnie powieść usposabia szczególnie do szukania ich, do drżącego szperania za nimi. Cóż znajdują szukający?..

Negację nadziei.

Czarną mgłę rozpaczy. Marny koniec najtrudniejszego bohaterstwa. Uroda życia gaśnie w tym końcu — czemże ma zmartwychwstać?..

Nie tykam artystycznego piękna dzieła. Artyzm może być nawet w rozpaczy, w śmierci. Ale co stanie się z *życiem*?..

Niedawno czytałem takie słowa Ehrenberga: „Największa mądrość polityczna polega na dostosowaniu celów, do których ma się dążyć, nie tylko do warunków w których się żyje, ale do treści duchowej, którą się chce to życie wypełnić”. Treść duchową którą Piotr Rozłucki chciał życie polskie wypełnić w „Urodzie życia” widać.

Jakże dostosował on do niej swój cel?..

Contra spem...

LEON STRAŻYC.



Kadłubiska — Świeżawa.

„...na drzewie wisiał krzyż w dziwny sposób o nie zaczepiony. Jego podstawa, niegdyś w ziemię wkopana, ugniła zupełnie i spróchniała bardzo wysoko, że został z niej nad ziemią jeno kolec ku dołowi zwrócony i próchnem ciemnem syjący. Krzyż ów runął był dawno, lecz ręce ludzkie podniosły go widać z drogi i ramionami poprzeczniczy zaczepiły o rozwidlają e się z pnia konary... Pod tym to krzyżem była wydma zapomniana, dzikiem zieleń porosła...”

(St. Żeromski „Uroda życia” T. I, str. 49).





„Przy sianie”. Andryjanki Gartkiewiczów, pow. bielskiego, gub. Grodzieńskiej. (Ze zbiorów amat. Gartkiewicza).

ŻNIWA.

Dopiero co, wczora jeszcze zda się, wołała w pole przepiórka żniwiarzy, dopiero co przelewała się po łąkach złota fala zboża ciężką pianą kłosów — i oto już dziś świecą się żółto-białe ścierniska w obramieniu ciemnych pól kartofli, zielonych buraków, łubinów, seradelli — puste już, smutne...

Wyszli ludzie w pola i pożęli co dojrzało. Dożynają jeszcze pszenicy, zbierają owsy, grochy — ostatki żniwa.

Matka Boska Zielna za pasem.

I dożynki!

Najpiękniejsza polska uroczystość wiejska, w kalendarzu polskiej wsi zapisana tuż obok Sobótek i Majowych nabożeństw, obok Kolendy Godniej i Turonia Kudłatego!..

Jak one—droga polskiemu rolnikowi, pamiętka...

W różnych terminach obchodzą ludzie dożynki, zależnie od obyczaju danej okolicy. Ale prawdziwe, polskie — bywają na Zielną.

Tu i owdzie przełożyli ten obchód na koniec sierpnia—nawet na Matkę Boską Siewną we wrześniu; ale nigdy to się nie tyczy tego, co jest treścią i głównym momentem tej uroczystości: *wieńca*. Wieniec przynosi gromada dworowi na Matkę Boską Zielną, bo w ten dzień przecie święci się w kościele ziele wszelakie i kłos pszeniczny.

Tylko dwór czasem gromadę na obchód dożynek, na podziękowanie za wieniec na późniejszy

dzień prosi. I tak tu i owdzie odłączyły się same dożynki od wieńca.

* * *

W wiejskiej ulicy, pod ciemnymi kłębami drzewin tulących w swoim cieniu chłopskie chaty i obejścia, gasną światełka jedne po drugich.

Tu i owdzie jeszcze gospodynie krząta się „przede świętem”, naczynia zmywa, izbę szoruje, albo — częściej — chustkę białą, na głowę, na jutro, krochmali a prasuje!..

Na przyźbie gospodarz przysiadł. Po wieczerzy popuścił paska, koszulę, dla chłodu, na piersiach rozchylił, fajczkę kurzy i myśli.

Myśli o niedożętem poletku owsa i o tem, że wartoby ugorek przewlec broną bo perz, ano się na nim puszcza i ciężko będzie potem rolę na raz pod siew wyprawić — i o wałachu Maćkowym, gniadym, coby w sam raz do jego kobyły pasował, a gruby jest i sielny śkapa, ino zérty strasznie! Maciek by go za osiemdziesiąt papirków sprzedał bo mu żróbka podrosła i oprzęgać ją już może, a trzy końskie ogony trzymać nie wydoli — ino paszy by trza jako wyspekulować, bo baba krowom ująć nie pozwoli ani krztyyny... a wałach strasznie zérty...

Kleją się oczy gospodarzowi.

Spluwa, wytrząsa fajczynę i idzie spać do izby.



Żniwa (fot. p. J. Moczulskiego).

Od obórki jakiś chichot przyciszony słyhać...
jakiś szeptanie, namówiny...

We wsi coraz ciszej.

Szczeknie jeszcze z jednego końca Burek,
z drugiego mu sołtysów Łysek odpowie, ale takie
to tylko „piere-wtere“ szczekanie — nie na zło-
dzieja i nie ponocne — tylko się psi sobie meldu-
jom, że som czuwające, żeby gospodarze wiedzieli,
że darmo misek nie wylizujom...

Z pól idzie coraz głośniejsza świerszczów pieśń.
Syczą świerszcze i ustają znowu. Na łące „giec“
(derkacz) beknął parę razy — i czarność nocna
spływa coraz większa na usypiającą, znużoną przed
świątem wieś...

Gwiazdy coraz jaśniej migocą — słyhać senny
głos rogu, nocnego stróża i miarowy bulgoczący
szum wody, na młyńskim kole z końca
wsi; księżyc jeszcze nie zaraz wzej-
dzie, na polach noc — półkopki
tylko czernią się w rządach...

Wązką miedzą ode wsi su-

ną się jakieś cienie pomiędzy polem koniczyny
nasiennej i czarnym pasem kartofli, ku wielkie-
mu, dworskiemu łąnowi sąsiedniej wsi, na którym
leży niezwiązana jeszcze, na garściach, pszenica.

Wesołe jakieś cienie i zażywne w sobie bo chi-
choczą się i gadają ze sobą, a co który stąpi mo-
cniej, to jakby w miedzę kamieniem ciepnął, ino
ziemia oddaje!..

Doszły do pszenicznych garści, obejrzały się,
schyliły i dalej z nich kłószy zbierać.

Ale mało wiela ta kłósków wzieny. TELA, co
by trzy dobre powróśla skręcił, może styry. I oześ-
miały się cienie do sie, wracajom, kłóski pod pa-
chę wziawszy.

— Pszenica sucha, aze sie krzy! — mówi jeden.

— Dostana jest; ale w naszym dwoze bielso.

— To i o to tyz idzie. Zaruzicki dziedzic po-
zno w wińcu, ze my sie nie bojały na winiec na
za ściane chodźć po kłósie!

— Wiera, ze pozno! i hunorem sie ujmie! Un
ta zawdy hunorny!

— O, hunorny!! ino nie kuzdy dziouse z tej
hunorności przybedzie!

— A Pietrynie?..

Zachichotały się cienie.

— Cichojta dziouchy! wele granicy, na odolku,
moze parobki kunie pasom...

Zwolna zaczęły cienie z miedzy schodźć w wą-
wozik płytki, między polami trawą zarosły.

Z brzeza zerwały się jakieś dwie postacie —
krótki, spłoszony krzyk. Jakieś ciche szamotanie —
i potem głos:

— Puś-ze mie Antek, kiej ci mówie!..

— A nie pusce! toś-ta na nase
pole przysły kraść kłóski!

— Dy ci powiedom: na winiec



Żniwiarka w biegu.
Księżniczki p. Strumiły.

Korzkiew.
(fot. amat. K. Ł.).

Korzkiew.
(fot. amat. K. Ł.).

— A co mi ta winiec! dej gemby Nastka, to cie puscel!

— Zmierzony jeden!.. Antek!.. siedź!..

— To dej gemby...

A potem zduszony jakiś, pocałunkiem przerywany szept:

— Puś-ze m... no, juz!.. przydzies-to do kościoła, Jantoś?

— Przyde! i na muzyke do dwora po południu tyz...

— Pamientoj! musimy do chałupy wrywać — późno juz, a jesce winiec pleść!.. byź ta zdrowi!

Byź-ta zdrowe! Dobronoc!.. Złoty księżyc wytoczył się nad pszeniczne pola i oroszone miedze.. Spojrzał dokoła i począł srebrną poświatę siać...

Dojrzał dziewczuchy z kłóskami kradzionymi, do wsi swojej śpieszące.

Uśmiechnął się dobrotniwie, szeroko. Zna od wieków ten zwyczaj: na wieniec dożynkowy kłosa z sąsiedzkiego pola nocką się bierze. Żeby się wiedło, wiadomo!

A jak przytem dziewczusze której całusa ukradnie sąsiad jaki młody — nie grzech!

Śmieje się księżyc stary... tyle się tego natrzył!..

Bo co roku młode serca ku sobie drżą...

A po miedzach, z oddali, płynie śpiewka:

Sumi las, sumi las,

Sumi gałazecka!..

Przysed cas, przysed cas,

Ściele sie druzecka!..

.....

* * *

Otwierajcie bramy, wrota
Idzie z pola robota

Plon niesiemy, plon



Cięcie owsa w Karnkowie.

Hej! ze wszystkich stron

Niesiewa plon!..

Otwierajcie okiennice

Idą do was przodownice

Niesą z pola plon

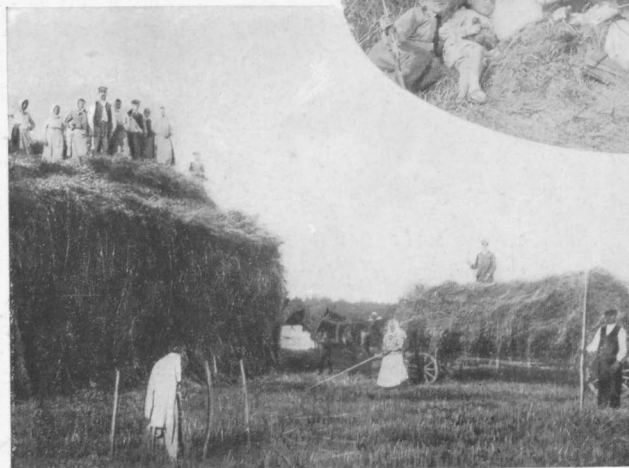
Hej! ze wszystkich stron

Niesą państwu plon!..

Na ganku białego dworu wita dziedzic gromadę. Przewodnice wieńce oddają. Z pszenicznych kłósów jeden, z ziela polnego drugi, z jaj trzeci, z orzechów laskowych czwarty, a wszystkie przystrojone kwiatkami, georginiami, piernikami i wstążkami kraśnemi.

Muzyka gra, państwo z poczęstunkiem między gromadę idą.

Przepija dziedzic do przodownic — dziewczuchy, jak łanie, wstydują się, odwracają, wzdragają, w końcu piją, fartuszkami lub dłonią zasłoniwszy twarze. Idzie kubek





„Pójdę na ciche pola, na kwitnące sady
 „Gdzie grają w śnie południa złote hymny pszczelne
 „Gdzie źródła młodych marzeń biją nieśmiertelne
 „I moich snów dziecięcych czuwa anioł blady...*)

Wybiega myśl na niecierpliwych skrzydłach
 marzeń w południe letnie z ciasnej, twar-
 dej obręczy murów miejskich na pola wy-
 złoczone sierpniowym słońcem...

I siada jak żebrak na przydrożnym kamieniu,
 u rozstaju pełnych pyłu gościńców...

Cisza jest i ziemia w niej nasiąka słońcem.
 Owad tylko brzęczy, człowiek gdzieś daleko śpie-
 wa zgięty nad zagonem... choć pot mu czoło za-
 lewa — wyśpiewuje:

Dla niego ziemia chłonie w siebie życiodajną
 moc ze słonecznych promieni, dla niego dookoła
 rośnie trawa, zboże, las szumiący, dla niego woda
 w srebrnej nici strumienia toczy się po kamieniach
 i zbiera siłę by piersią z kryształu o młyńskie
 koło uderzyć z całej mocy, dla niego stado kra-
 siatego bydła pasie się na zielono szarym łągu
 karminy — i kuropatwa na polu i zając w krza-
 kach — i skowronek dzwoni w powietrzu nad łąnem
 dla niego — dla niego na zachodzie zbliża się
 chmura czarna, by potokiem deszczu splukać z ku-
 rzu i zasilić rośliny i dać ziemi rzeźwość i sok
 bujny...

Więc śpiewa.

Lato jest. Przyszło znów do ludzi niosąc plo-
 nów zapłatę za trud i nadzieje, za ufność, za przy-
 wiązanie.

Dało pracę — dało spokój.

Płyną w niem cicho myśli ludzi wiejskich...

Owijają się koło złotych kłosów pszenicznych —

polatują nad chlebnymi polami z pieśnią skowron-
 czą — idą o południu odpoczywać w cieniu sadów
 pod gałęziami schylonemi do ziemi ciężarem
 owocu...

One bledną i drżą, kiedy zagrzmie i błysnie
 chmura gradowa, ale kąpią się w słońcu i odde-



Lubelskie — wieś Ruchy. Miejskowa rzeka Kurówka
 (fot. am. Kazimierza Kurkiewicza).

*) Józef Jedlicz: „Sny“.



Letnia „siesta“.

chach ziemi... nie znają pustki, nie toną w próżni, nie konają w gorączce pytań, na które życie nie daje odpowiedzi, jeno śmierć...

One mają swój przedmiot stały, konkretny, urągający wszelkim zwątpieniom, po którym przetaczają się w konwulsjach wszystkie kwestje ludzkie od tyłu set wieków — i mijają jak sen — a on, ten przedmiot: *ziemia* — nie mija...

Ona — *jest*...

Myśl moja biedna, przytulona do zmęczonych skrzydeł marzenia, poraniona o wszystkie ostre kamienie bruków miejskich, w skwarze letnim zapiekła troską o wszystko, co mija, co wysycha, jak kropla dżdżu upadła na rozpalony kamień miejskiego muru — wyszła w pola słoneczne, gdzie upał jest życiem, a blask zwycięstwem...

Jak żebrak siadła u rozstaju polnych dróg... do pyłu ziemi przytula znużone czoło, — spocząć chce...

„Pójdę pod białe, słońcem roześmiane chaty
„Gdzie śnią urokiem ziela wybudane grzędy —
„Gdzie święte, tajemnicze kwitnienia obrzędy
„Mąci szalem radości ptactwa huf skrzydlaty...*)

Wietrzyk niesie pył kwiatów z jednego kielicha na drugi — spełnia się tajemnica życia, z kwiatu rodzi się owoc...

Czy kwiat wie, jakim cudownym sposobem natura jego przeznaczenie wypełnia?.. Czy zatroszczy się o to, jaką drogą jego zarodki dostaną się do kielicha drugiego kwiatu?..

Nie. Takie rzeczy tylko ludzie wiedzieć muszą. Kwiat ma swoją logikę: wyrasta, bierze z promieni słońca barwę i kształt, rozwija się, rodzi to, co natura rodzić mu każe, żyje; potem, skoro zadanie spełnił — umiera. Wiatr roznosi jego zeschłe szczątki po polach na karm nowemu życiu.

Człowiek ma logikę inną. Musi wiedzieć skąd się wziął i poco jest. Skoro się dowie, skoro mu się zdaje, że już wie to wszystko, zadania swego często już nie spełnia... Ale umiera też — i śmiercią znów daje życie...

Kwiat żyje krótko. Ale przez całe życie raduje się ze słońca, z pogody, z wiatru, z kropelek rosy, z deszczu co oplukuje go z kurzu.

Raduje się wszędzie. W polu, w ogrodzie, pod płotem, przy pełnym kurzu gościńcu — wszędzie gdzie jest podnosi w górę kolorową główkę, jest weselem stworzenia, krasą natury, uśmiechem życia...

Raduje się póki nie zwiędnie, nie uschnie — póki nie zdepcze go brutalna stopa, nie zerwie kaprys, albo walka o byt...

Człowiek żyje dłużej. Ale raduje się rzadko. Zatracił radość życia — w życiu...

Gorączka życia wypaliła w nim radość. Zostało mu jeno użycie; rozkosz — szaf... Radują się jeszcze wiejscy ludzie...

Szary pył ziemi szepcze mi w ucho, że dawniej życie było radością — dla wszystkich.

Radował się kwiat i zwierzę i człowiek.

Skąpiana w promieniach słonecznych, wygrzana upałem letnim, karmiąca piersią swą wszelkie życie ziemia dawała stworzeniu radość!..

....w cienie zacisz, patrząc w bujne plony
„Z dziadem o siwych włosach, które wiatr mu pieści
„Siadę — śnieżną rozkoszą kwiecia upojony —
„I długich będę słucał jego cpowieści...
„W duszy mej barwną rzeszą zjawia się ogromne
„Widzenia dawnych czasów..

...i może zapomnę!...

JUR.

*) Józef Jedlicz „Sny“.



Pyszno. „Na przechadzce“ (fot. panny R. Ranne).

EDWARD SŁOŃSKI.

OSTATNIA PIĘDŹ.

(DOKOŃCZENIE).

Chyba przesadzasz, mój drogi. Nory, to ładny kawał ziemi.

— Masz rację, to był ładny kawał ziemi.

— Jakto był?

— Ano, bo nie jest.

— Jakto?

— Bo Nory dzisiejsze to już nie te dawne, ojcowskie. Jechałeś przez las i pole, siedzisz w pokoju, w którym nic się prawie od naszego dzieciństwa nie zmieniło i zdaje ci się, że tu wszystko jest tak, jak za życia naszego ojca. Tymczasem z tych dawnych Nor pozostał mi tylko ten dwór i dwie włóki ziemi. Czy ty rozumiesz — tylko dwie włóki obciążone 5 tysiącami długu?

Andrzej usiadł na swoje miejsce.

— Jak się to stało? — zapytał. Przecie wiesz, że nam tu niewolno sprzedawać ziemi.

— Wiem, że niewolno — odrzekł posępnie Karol i zwiesił głowę.

— Więc, jak się to stało?

— Sam nie wiem jak. Dwa lata temu sprzedałem pół pola za stodołę chłopom, w niespełna rok potem odstąpiłem znowu sto dziesięcin Hartmanowi z Powilna, temu, co to miał wiatrak, pamiętasz? Potem znowu 100 dziesięcin chłopom i potem pięćdziesiąt. I tak powoli rozpełzły mi się Nory. Rękę wyciągnął w stronę biurka.

— Tam znajdziesz wszystkie rachunki, zesta-



Pierwsze kroki.



Nasza Hanka dobra, ładna, droga perła, nie dziewczynka!
(fot. am. p. M. Potockiej z Turbijejki).

wisz je, podsumujesz długie kolumny cyfr i dowiesz się dlaczego rozpełzła mi się w rękach nasza ziemia. Zarwałem ciebie i Stefana. Ty jeszcze dasz sobie jakoś radę, ale Stefan... Straszno mi się robi, kiedy myślę o nim... Stefan będzie gdzieś w tajgach przeżuwał urazę do mnie, położy na moje sumienie swój ciężki wyrzut. W każdym bankructwie jest na dnie coś z kryminału... w każdym bankructwie ludzie znajdują, albo złą wolę, albo karygodną lekkomyślność, a tembardziej tu, gdzie ziemiska własność jest niemal narodową sprawą...

Zaczął trzeć ręką czoło.

— I ten Stefan... przecie nie zaprzeczysz mi, że go skrzywdziłem... czuję na sobie jego krzywdę.

Od strony izby czeladnej z poza ogrodu doleciał jakiś młody śmiech i zaraz potem rozległo się głośne wołanie.

— Ty szto Wańka? Ty szto...

I znowu skroś mrok jesienno-wieczoru potoczył się śmiech, wesoły, bez troski.

Andrzejowi przypomniały się dawne lata.

— Wpadłeś w jakąś czarną melancholję — zawołał podniecony wspomnieniami. — Można nie mieć pieniędzy, można nawet tu, na Litwie, w naszych warunkach wyżyć się ziemi i nikogo nie skrzywdzić.

— Masz rację, a jednak jeśli jest inaczej!

— Właśnie zdaje mi się, że przesadzasz. Stefanowi trzeba posłać pieniędzy, narazie jednak może mu i mniejsza suma wystarczy, a mniejszą potrafię dostać w Warszawie.

Twarz Karola zajaśniała radością.

— Chyba w Warszawie, chyba tam dostaniesz — mówił, jakby nie wierząc, że się to da zrobić, bo tu nawet myśleć o tem niemożna.

Drżącą ręką sięgnął po kieliszek i wychylił do dna.

— Pojutrze przyjedzie komornik z całym tłumem żydów. Napełnią cały dwór swoim niemieckorosyjskim szwargotem. Rozpełzną się po stajniach i oborach, zademcą posadzki, oplugawią wszystko.

Wyprostował się i zeszywniał.

— Licytacja — wycedził przez zęby prawie szeptem.

Zerwał się z krzesła i zaczął biegać po pokoju. Zalał go całego jakiś niedobry wstyd i gniew bezsilny. Wstydział się tego, co się miało stać pojutrze i nie mógł temu zapobiedz.

— Zabiorą mi wszystko... wszystko...

Jeszcze pewnie zostaną im cośniecoś winien—tysiąc, dwa, sam nie wiem. Taki żyd, chałaciarz, przez całe życie szachrował, żeby zbierać ten tysiąc — a tyś mu ten tysiąc zabrał i nie możesz oddać. Jak ci się taka sytuacja podoba? Co?

Nafta w lampie zaczęła się dopalać i w pokoju robiło się coraz mroczniej.

— Na pojutrze wyznaczono licytację — mówił w podnieceniu. Termin ostateczny. Pojutrze wyjdę stąd o kiju. Dlatego wezwałem ciebie... chcę żebyś przejrzał rachunki i pożegnał się z Norami. Musisz poznać historję mojego bankructwa, choćby ze względu na Stefana.

Andrzej słuchał z coraz większym przerażeniem. Łzy duże, jak groch, zasłoniły mu cały pokój. Czuł, że powinien uspokoić brata i nie miał słów. Poginęły gdzieś w nawale wrażeń, rozsypały się w jakiejś wielkiej pustce bez żadnej treści i znaczenia.

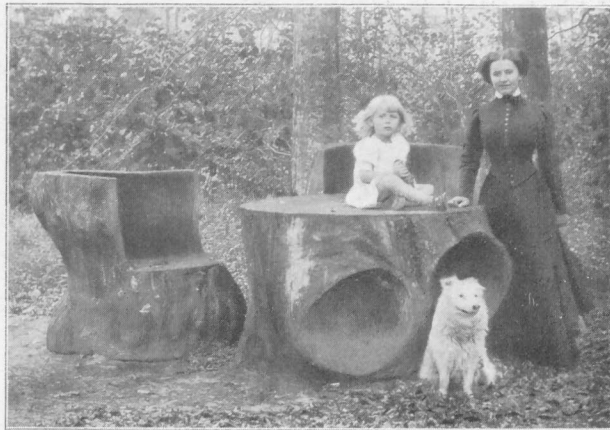
A Karol mówił coraz ciszej:

— Bez wątpienia we mnie będziesz szukał przyczyny tej katastrofy... Przypuszczam, że będziesz miał rację... Odkąd zostałem sam w Norach... Rozumiesz?.. Po jej wyjeździe...

Zatrzymał się na chwilę przed Andrzejem i stał

niezdecydowany. Przeżuwał w sobie jakąś myśl bolesną.

— Po jej wyjeździe wszystko zaczęło się rwać... Nie mogłem pracować spokojnie, liczyć, zbierać... Ale mniejsza o to!



Stół, ławeczki ze starych dębów. Bireżewicze, pow. Piński, (własność p. S. Ordy.

Podszedł do biurka i zaczął przewracać w wysuniętej szufladzie stare, pożółkłe i pomięte rachunki, potargane listy i notatki. Czerwone jego dłonie zanurzały się co chwila w otwartej szufladzie, tonęły w morzu porzucanych w nieładzie kartek i wydobywały stamtąd jakieś naddarte arkusze, które jednak nie były tem, czego szukał.

— Chciałem ci pokazać ogólny wykaz zysków i strat od daty śmierci ojca—mówił pochylony nad otwartą szufladą. Wczoraj jeszcze miałem go w ręku, a nie wiem gdzie jest.

W pokoju było coraz mroczniej. Karol zmuszony był coraz bliżej do oczu podnosić wydobyte szpargały. Po chwili z gniewem zasunął szufladę.

— Zostawmy to do jutra — powiedział nieco spokojniejszym głosem. — Lampa już gaśnie... chodźmy spać. Kazałem ci posłać w błękitnym pokoju.

Zapalił świecę i poszedł tam pierwszy.

W bawialnym pokoju nie było fortepianu i starych mahoniowych mebli.

Karol zatrzymał się na progu.

— Jak widzisz, sprzedałem wszystko. Za wszystko dali mi 75 rubli. Coprawda fortepian nasz nie miał głosu, a meble były spróchniałe i stoczone przez robactwo. Szli dalej milcząc. Kroki ich dudniły w pustym pokoju ostro i nieprzyjemnie.

— Tu stał katafalk ojca — myślał Andrzej...

I błękitny pokój był prawie pusty. Stały tam pod ścianami cztery łóżka, z których jedno tylko miało pościel na sobie — z trzech pozostałych wy-



Zahorce. Mała ogrodniczka (fot. am. p. J. Jełowickiej).



Bejsce, p. Kamienną (fot. Adam Byszewski).

glądały gołe deski. Pod dużym, niezgrabnym piecem na krzywym stołku stała misa z wodą i na poręczy pustego łóżka wisiał szary, zgrzebny ręcznik.

Z kątów wyglądała przeraźliwa pustka.

Karol postawił świecę na stole i otworzył okno.

— Nie gniewasz się na mnie? Co? — zapytał, spuszczać oczy.

— Za co?

— Za to, że cię wezwał.

— Cóż znowu!

Zwarli się w długim uścisku.

— Więc nic nie uratujemy? — zapytał Andrzej.

— Nic.

— Nieodwołalnie!

— Tak.

— A więc nie mówmy już o tem.

Przy mdłym płomyku niskiej świecy usiedli na niewygodnych jesionowych krzeselkach, na których siadali przed dwudziestu laty.

Pokój tonął w mroku. Z sadu przez okno otwarte wchodził jesienny chłód.

W Andrzeju obudziły się wspomnienia jakichś dalekich przeżyć, zatarte w pamięci, podobne do wyblakłych fotografii, które wisiały nad łóżkiem.



Konstancin. Staw „zarybkowy” (fot. G. Tomerski).

I naraz z błyskawiczną szybkością zaczął przeżywać wszystkie swoje dziecinne wzruszenia i radości, marzenia o życiu górnem i o locie wysokim, podniebnym.

Radości dziecinne posmętniały i pogasły, marzenia — nie wiedział, gdzie są jego marzenia. I oto naraz zjawily się wszystkie. Nawiał je przez otwarte okno wraz z jesiennym chłodem do tego pustego, błękitnego pokoju stary sad, posadził na niewygodnych, jesionowych krzeselkach, położył na nagich deskach łóżek, powiesił na wyblakłych fotografjach na ścianie.

Znajome, zapomniane, dalekie...

Byli wówczas jeszcze dziećmi obaj — i on i Karol...

Spojrzał na brata uważnie.

Karol siedział w kącie i mrok miał na twarzy. Był rad, że Andrzej przyjechał i że już nie jest sam w oczekiwaniu zbliżającej się licytacji. Czuł się silniejszym pomimo nerwowego znużenia. Przymknął oczy i patrzył przez powieki w drżący płomień świecy.

Wydawało mu się, że wyszedł z Norów, że wyszedł za ostatni kopiec graniczny, smagany złorzeczeniem żyda chałciarza, któremu został winien tysiąc rubli. Za ostatnim kopcem granicznym otworzyła się pod nim otchłań głęboka bez dna. Spojrzał w dół i doznał zawrotu głowy.

— Więc trzeba się stoczyć bezkształtną bryłą na dno — myślał i chciał się cofnąć, ale za nim stał graniczny słup i żyd chałciarz siedział przy starem jesionowem biurku ojca.

Wiatr gwałtownie zakolysał płomień świecy. Karol otworzył oczy.

Jeszcze jest w Norach — to zhora! to sen!

Spojrzał z podełba na Andrzeja, jakby szukał w jego twarzy wyroku dla siebie. Na twarzy jednak Andrzeja malował się słodki spokój.

— Pamiętasz, w tym błękitnym pokoju była nasza szkoła. Tu dziadek uczył nas czytać... Pamiętasz? — pytał Andrzej.

— Pod oknem stał czarny stół.

— Stary kalendarz wileński był naszym elemen-

tarzem. I potoczyła się rozmowa daleka od trosk, które wisiały nad Norami.

To było dawno... dawno... Choinki zapalone... stoły nakryte obrusami... mazurki... babki... Zimy białe, mroźne, wiosny pełne rozkwitów i zapachów drażniących, jesienie kolorowe, słoneczne...

Świeca dopalała się w mosiężnym niskim lich-tarzu i na dworze zaczynało świtać, kiedy Karol odchodził do siebie.

Andrzej zgasił dopalającą się świecę i długo jeszcze siedział w otwartym oknie.

Za oknem sad budził się ze snu. Z mroku nocy zaczęły się powoli przed oczyma Andrzeja wyłaniać drzewa, zrazu siwe jakieś i niewyraźne, potem coraz bardziej zielone, coraz żywsze, drzewa które poznawał po dziwacznych skrętach karłowatych pni, lub po układzie niskich, szeroko rozpostartych gałęzi, tworzących tu i owdzie tuż nad ziemią nierówne, przysadziste banie. Przypomniał je wszyst-

kie i zaczął nazywać po imieniu. Ta jabłoń niska, karłowata, rosnąca tuż pod oknem, to Spasówka. Strasznie lubili jej drobne i słodkie jabłuszka, dojrzewające wcześniej od innych. Ta gruszką wysoka i ciemna, to Panienka, która co drugi rok zaledwie rodziła owoce. Dalej nieco za gruszką, te drzewa niskie i karłowate o pniach ciemnych i krótkich, to Antonówki. Z poza nich wyglądały czuby lip, schodzących na dół ku stawowi cienistą, szeroką aleją...

Patrzył na wyłaniający się z mroku sad, modlitwą duszy witał znajome, ciche kąty, o których zapomniał w gorączce wielkomiejskiego życia i nie mógł odejść od okna.

Nagle, za nim, gdzieś blisko, huknął wystrzał. Znał dobrze ten głuchy huk, suchy i krótki, jakby urwany w połowie...

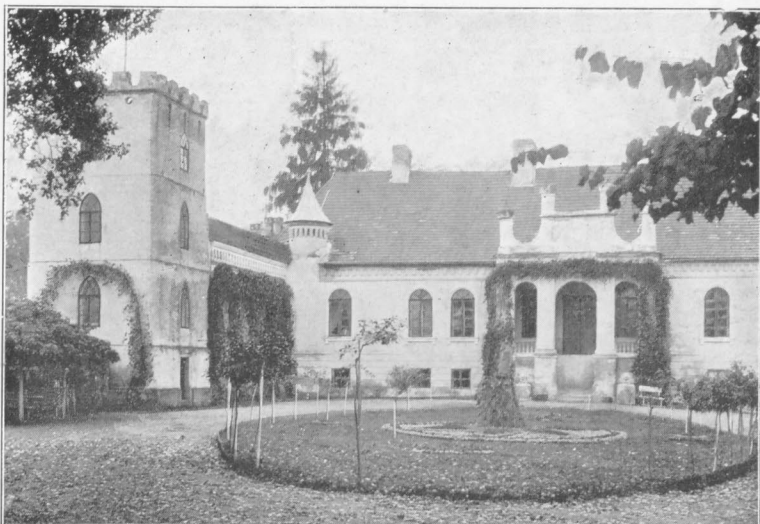
Drgnął i zamarł pełen lęku i zgrozy.

Gdzieś daleko w lipowej alei odezwało się echo.

Chciał biedz i nie mógł się poruszyć. Po chwili przemógł się i poszedł w stronę wystrzału. Nogi pod nim się ugiwały i echa jego kroków dudniły i huczały w prawie pustych pokojach.



Typ włościanki. Podole, pow. Mohylowski.



Janowice nad Dunajcem.

Drzwi do pokoju Karola były zamknięte.

Wszedł do sieni, a z sieni do jadalnego pokoju. Na stole stał samowar, szklanki z niedopitą herbatą i butelka z wódką.

Drzwi do pokoju Karola były uchylone.

Andrzej poczuł, że mu braknie tchu. Zaczął się skradać na palcach pod ścianą, jakby się bał obudzić brata.

Na progu zatrzymał się i krzyknął nieludzkim głosem:

— Karolu!

Włosy zjeżyły mu się na głowie i serce w piersi zamarło.

Na środku pokoju leżał Karol na wznak z rozpostartymi rękami i z głową w tył odrzuconą.

— Karolu! — zawołał znowu Andrzej i poczuł naraz, że ma spętane nogi i że nie może postąpić kroku. Więc zaczął wołać, zaczął krzyczeć strasznym głosem.

— Ludzie... ludzie...

Nie zdawał sobie sprawy, po co krzyczy i kogo woła, nie wiedział, czy jest ktokolwiek blisko i czy Karol żyje jeszcze.

Naraz usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi, rumor przewracanych statków kuchennych i zgrzytanie zardzewiałych klamek. Gdzieś za nim w sieni kuchennej zatupały boscie nogi i ozwały się głosy.

Weszła Nastula, a za nią z rozrzuconymi włosami, w zgrzebnej koszuli i w czerwonej niezapiętej z tyłu spódnicy stara Krystyna, którą znał od dziecka.

Weszły wylękłe, blade.

Usłyszał za sobą ich przeraźliwy krzyk i runął, jak długi, na podłogę. Zapadł się w jakąś liljową otchłań, spadł na same dno, przy dźwięku srebrnych dzwoneczków dalekich i blizkich, które powoli zaczęły milknąć i głuchnąć w fioletowych rozświetlaczach, które miał w oczach.

Otoczyła go głucha noc, przez którą usłyszał nagle głuchy szept Krystyny:

— A światłość wiekuista niechaj mu świeci.

— Karolu! — chciał zawołać i stracił przytomność...



Kocierzowy p. Piotrkowem. — Fragment z ulicy wiejskiej.



Podole. Bucnie, własność p. Leona Czajkowskiego.

WIEŚ.

(AKWARELA).

Awtem zagrano pobudkę do mazura. Ulubiona melodia zakołysała się w powietrzu i przebiegła rozlewnem echem wszystkie salony przytykające do sali balowej.

I roześmiały się twarze młodych, uśmiechnęły się słodko oblicza starszych pań, niby do dawnych wyblakłych wspomnień, a i starzy panowie rozmawiający zawzięcie w palarni o zasiewach, polityce i ciężkich czasach, przerwali na chwilę gorącą dysputę, podkręcili siwego wąsa, i przytupnęli z animuszem...

Barwne sukienki, wszystkich kolorów tęczy, kwiatów i skrzydeł motyli, przyfrunęły na opróżnionej chwilowo salę.

— Proszę stawać do mazura! — zabrzmiał do-

nośny głos wodzireja. Pan Stefan, prowadzący ożywioną rozmowę z panną Wandą, zerwał się i złożył ładny ukłon.

— Mazur mój, prawda panno Wando?

A gdy stanęli już na środku sali, zapytał:

— Pani lubi mazura? Woli pani niż walca?

Zagrały nozdrza wązkiego noska u panienki.

— Cóż za pytanie? Walc jest ładny, miły — ale cóż za porównanie z mazurem!

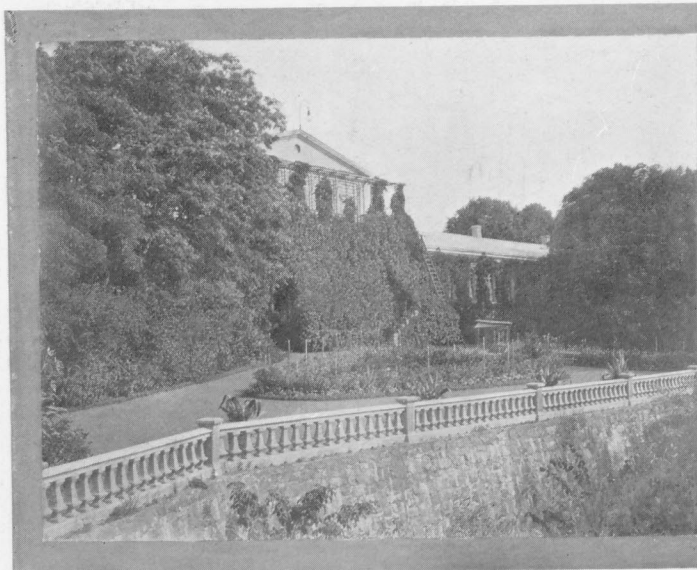
— A pan?..

— Ja?.. Nie myślałem doprawdy nigdy głębiej nad tem. Lubię wogóle taniec — a głównie ma wagę dla mnie, gdy tańczę z kimś mi sympatycznym. Owszem — lubię i mazura. Chociaż...

Hasło do tańca przerwało dalszą rozmowę. Zwolna utworzył się krąg ciekawych wkoło tańczących. „Błękitny mazur“ miał być głównym punktem dzisiejszego „balu ziemianek“.

I rzeczywiście, wodzireje prześcigali się dziś w umiejętności podtrzymania ognia i werwy u tańczących, układali coraz to nowe, coraz piękniejsze figury, oświetlane z balkonu różnokolorowemi wstęgami reflektorów elektrycznych.

Na chwilę zapomniano o smutkach dnia dzisiejszego, o troskach i zawodach — wszystkim równo gorzały oczy, śmiały się usta, drżały do taktu nogi... Mazur zawładnął wszystkimi niepodzielnie...



Daszów (pałac), gub. Kijowska, własność ś. p. księcia Witolda Światopek-Czetwertyńskiego.



Pałac w Nowosielicy hr. J. Potockiego.

Panna Wanda, odprowadzona przez dansera, usiadła na swoim dawnym miejscu. Kragła jej pierś falowała pod białym zwójem muślinów, płowe włosy rozwiały się nieco podczas zawrotnego tańca, i spadały niesfornymi splotami na śliczne czoło. Zwróciła zarumienioną twarzyczkę do swego towarzysza:

— Nieskończyłam jeszcze. Nie mogłam rozmawiać podczas tańca. Znadto porwał mnie mazur.

— Nie przypuszczałem, by pani tak lubiała ten taniec. Ale też tańczy pani — wprost cudnie. Co za wdzięk, układ, temperament! Ludzie oglądali się za nami... pardon! za panią tylko, — bo ja...

— Owszem! Tańczy pan zupełnie dobrze — tylko... za zimno. Bez przejęcia. — Mazur, to jedna z moich nielicznych namiętności...

— Aż tak?..

— Mazura nie lubią w mieście. Wie pan dlaczego? Bo go nie umią tańczyć. W tej wielkiej sali, z wyborną posadzką i muzyką — a przecież... Damy dreptają, a panowie podskakują... To nie mazur — to parodja! Miastowi ludzie nie czują mazura. A u nas? W małym wiejskim saloniku, przy kilkudziesięciu świecach, przy fortepianie jakiejś cioci, szaleją ludzie w mazurze! To jest taniec! Widział pan kiedy tańczonego mazura u nas, na wsi, gdy zbierze się dobrane towarzystwo? Gdy szary brzask przebija się już przez okiennice, i ogar-

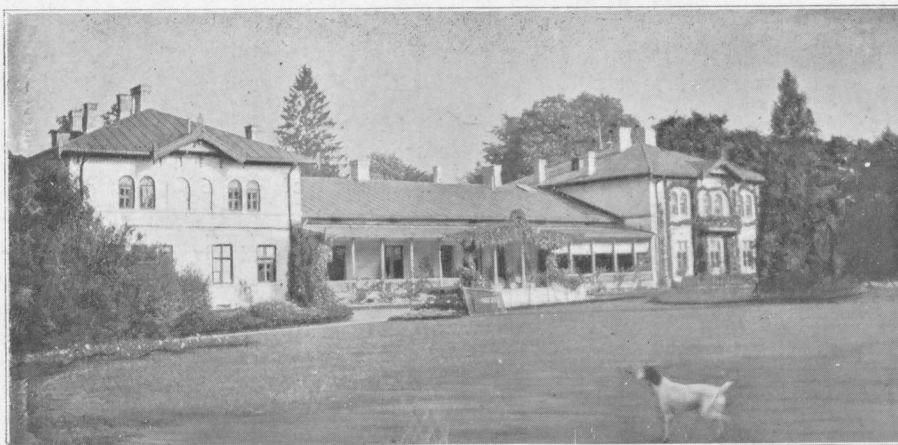
nia jakieś zapamiętanie taneczne, i chciałoby się tak tańczyć — aż do upadłego? Widział pan kiedy takiego mazura?

— Owszem, owszem, — mówił pan Stefan, przybierając nieco pozę zblazowanego światowca, — ale powtarzam, dla mnie, przy tańcu, najważniejszą osobą z którą tańczy. Nie potrafiłbym naprzykład tańczyć choćby najmilszego tańca, z osobą brzydką, antypatyczną, źle ubraną... I otwarcie mówiąc — wolę walca. Jest poetyczniejszy.

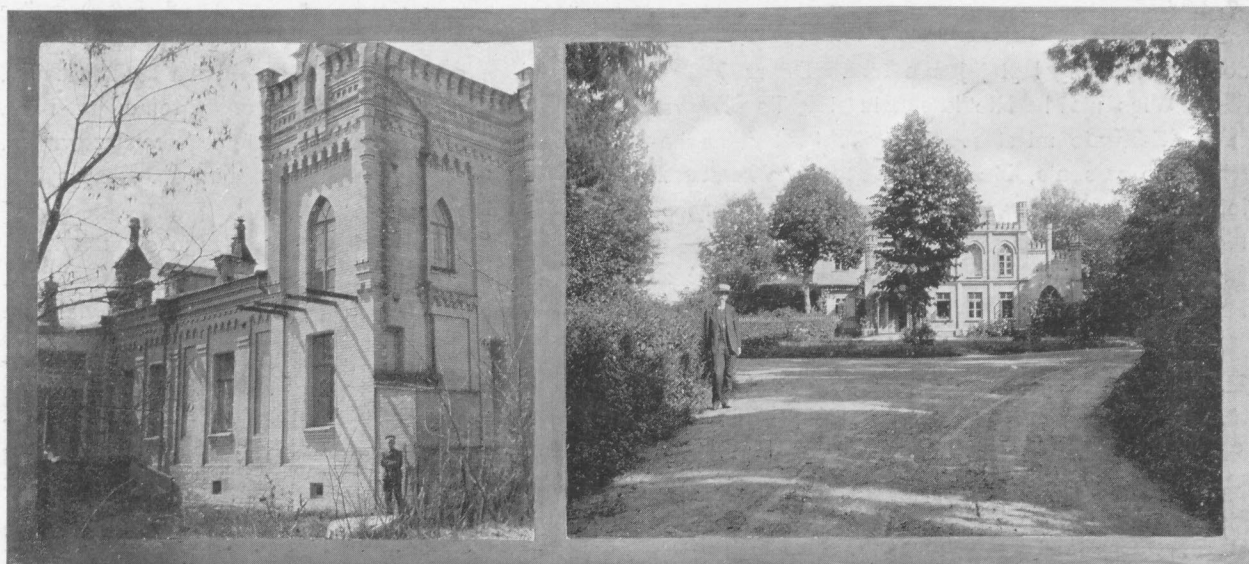
A panna Wanda wydeła paki swych ust, w jej oczach zamigotała na chwilę pogarda, i z lekkim uśmiechem, rzuciła mu w odpowiedzi, twarde słówko:

— Mieszczuch!..

I już do końca zabawy nie odzyskała dawnego humoru. A gdy pan Stefan z czułą troskliwością otulał panie w karecie i pytał, czy wkrótce zobaczy je znów w Warszawie, zapalił się ten sam pło-



Pałac (zachód). Milanów. własność ks. Czetwertyńskiego.



Florjanów, gub. Mińska. pow. Nowogródzki.
Własność p. Bochwica (fot. am. M. Ślizień).

Pałac w Jankowcach
(fot. am. Aleksandra Wielhorskiego).

myk w oczach pięknej panny, a usta zdawały się szeptać:

— Mieszczuch!..

Otwarcie wystawy sportowej w Warszawie, zainteresowało szerokie koła ziemiańskie. Nic więc dziwnego, że w pierwszych dniach po otwarciu, zjechała bliższa i dalsza „okolica“, aby móżd napieścić oczy ukochanym sportem myśliwskim, tak bogato na wystawie reprezentowanym.

I panna Wanda przyjechała także — tym razem ze starszym bratem Adamem.

Gdy przechodzili główną aleją, obok placów tenisowych, zawołał pan Adam:

— Patrzaj, Wandziu! Twój Stefan!

— Mój?! — zapłonila się twarzyczka rumieńcem — skądże „mój“? Przecież raczej — twój! Twój kolega z wydziału agronomicznego w Krakowie.

— Siostrzyco! Nie udawaj chinki! — zawołał, zawsze jowialny Adam. — Jest twój, a nie mój, bo kocha się w tobie, ty w nim!

— Nie lubię, gdy żartujesz w ten sposób. Nie mówmy lepiej już o tem. Dobrze?

— Więc nie?! Nie kochacie się? To przepraszam. Zdawało mi się... Nadszukał ci na balach nieco za silnie, biegał za nami trochę za dużo... Może mi się i zdawało. Chyba podejźmy do niego, co? Zrób to małe ustępstwo dla mnie — tu uśmiechnął się lekko pod wąsem — i podejź do mnie... Dobrze?

— Jak chcesz — odparła, nakrywając szybko oczy firanką długich rzęs.

A tymczasem pan Stefan, nie przeczuwając nawet, iż tak blisko niego znajduje się ta, która wywarła na nim tak silne wrażenie, i o której zapomnieć nie mógł, — nie przeczuwając, że tak niedaleko, tłucze się ze wzruszenia dziewczęce serduszko, pod zgrabnie skrojonym żakiecikiem angielskiego kostjumu, — grał zapamiętałe w ulubionego

tennisa. Biały flanelowy kostjum dobrze uwydatniał jego męzką, kształtną budowę, a odwinięte rękawy koszuli odsłaniały zgrabny choć silny rysunek ręki.

— Stef! Bywaj!! — huknął Adam.

Stefan zwrócił oczy w ich stronę. Rakietka wypadła mu z ręki, a jasna łuna radości zapaliła mu się w oczach. Szczęściem była to już partja końcowa — za pięć minut był już przy nich, uszczęśliwiony, ściskający Adama, obejmujący pannę Wandę zakochanym spojrzeniem.

Poszli do pawilonu myśliwstwa.

Panna była jakby nie w humorze i małowólna.

— Co ci się stało? — pytał brat, — w wagonie byłaś taka wesoła, zadowolona że jedziesz do Warszawy...

— Nie lubię Warszawy, nie lubię miasta — odpowiedziała lakonicznie.

— Wziąłeś nagrodę za tennis? — pytał Adam.

— Wziąłem dotąd wszystkie — mówił Stefan z dumą, szukając oczu panny, zapatrzonej w jelenie rogi. — A to sportowiec! — zawołał Adam —

pochwał że go, Wandziu! Panienska wydeła ustka, zupełnie jak wtedy, kilka miesięcy temu, na balu. Stefana ubodło to lekceważenie jego mistrzostwa.

— Na wsi nie grywają w tennisa? — spytał.

— Owszem, owszem...

— Więc o co ci idzie? Czego się tak krzywisz?! — zawołał Adam.

— Powiem ci to zaraz, Adamie. Ja uwielbiam duże miasto, jego komfort, gwar, ruch, kulturę, wygodę, — panna Wanda kocha tylko wieś i nie może mi darować mego, jak to nazywa, odszczepieństwa.

A panna Wanda obrzuciła go dziwnym spojrzeniem, i znów jej ustka rzuciły mu to samo słowo:

— Mieszczuch!..

Pan Stefan zwierzył się bratu panny Wandy z swoim uczuciem. Adam przyrzekł mu możliwą



Trylesin Gaj brzozyowy, Białoruska „roszcza“.



Pojeziory. Strona ogrodu.

pomoc. Pierwszym dowodem tego było zaproszenie Stefana na wieś.

Pańska rezydencja, dwór stary ale z wyglądem pałacu, zrobiły dobre wrażenie na Stefanie. Rodzice panny uprzejmi, brat serdeczny i wylany, przyjęcie nad wyraz gościnne, sąsiedztwo liczne i wesołe — lecz wszystko to nie okupywało wcale,

najważniejszej rzeczy: — usposobienia panny... Panna Wanda była wesoła, dla gościa grzeczna, i uprzejma, ale — zimna, i niby nic nie wiedząca, niczego się nie domyślająca. Aż raz — nadeszła nareszcie upragniona przez niego chwila, i na ogólnym spacerze, znaleźli się na chwilę sami...

Było to przed wieczorem, zaraz po zachodzie słońca. Lekki wietrzyk muskał z cichym szelestem, ciężkie już głowy kłosów, niebo przybierało kolor fioletowej czerwieni, zdala dolatywał głos skrzypek wiejskich — była jakaś słodka cisza i przednocne zadumanie w całej naturze.

Panna szła milcząca, widocznie pod urokiem swej ukochanej wsi. Pieściła oczyma falującą rzekę zboża — i serce jej tak dziwnie biło, niby w przecuciu, oczekiwaniu czegoś... Stefan wykorzystał tę chwilę. Wyznał, że ją kocha — prosił o pozwo-

lenie oświadczenia się rodzicom. Ale panna — bardzo cichutko i lekliwie — prosiła o... czas do namysłu. Nie powiedziała: nie! — ale i nie powiedziała: tak! Stefan nie spodziewał się tego. Kochał Wandę — zdawało mu się, że nie jest jej obojętny i myślał, że zostanie zaraz przyjęty.

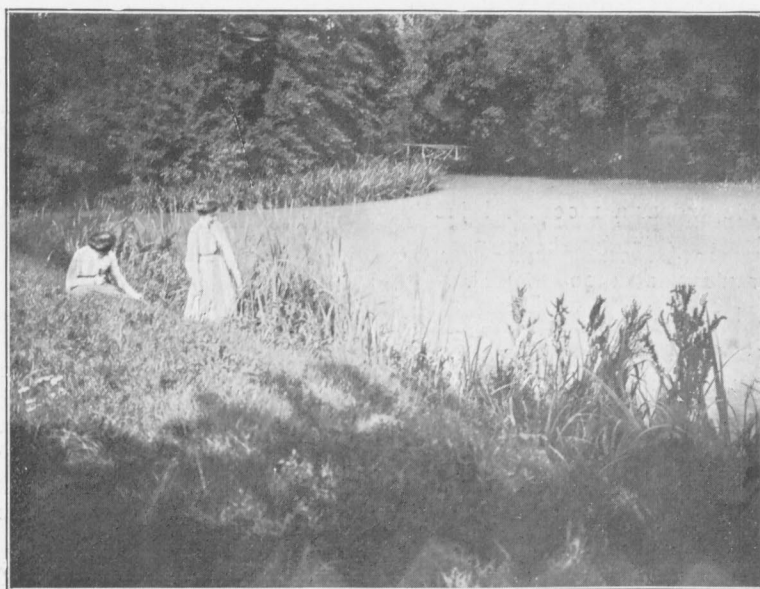
— Więc mogę jutro odjechać? — spytał zdławionym głosem.

— Nie, nie — zaprzeczyła żywo panna. — Niech pan zostanie. Proszę zostać — tu popatrzała ślicznie — nie gniewać się, i pozwolić mi wejść w siebie i rozważyć...

Podawała mu zapłonioną, szczerym ruchem rękę, którą on gorąco ucałował.

...
— Bój się Boga, dziewucho — mówił nazajutrz Adam do siostry, co ty z nim wyprawiasz? Masz chłopaka jak złoto: młody, ładny, zamożny, z dobrego gniazda, kocha cię — czego chcesz więcej? Na kogo czekasz? Na szacha perskiego? Ej! żebyś z tych kaprysów nie została starą panną!

— Nie zostanę! — A choćby, to co? I stare panny też potrzebne na świecie! — Nie gadaj!



Motyw z parku w Pstrokoniach p. Strzeszewskiej.



A do czego?..
— Zresztą nie powiedziała: nie...

Wyprawa po borówki (Zacisze) (fot. am. hr. Zyberka-Platera).

— Więc co? Ani nie, ani tak? Trochę tak, a trochę nie? Co to za komedja? Po co go męczyć? Kapryśnica z ciebie i koniec!

A pan Stefan został na wsi na życzenie panny, i aby skrócić sobie mękę niepewności i czekania, i zabić uczucie obrażonej dumy mężkiej, zaczął mniej wpatrywać się w pannę, a więcej studjować otoczenie, wieś, krajobraz. Zatem jednego dnia zrobił wycieczkę do lasu, potem do małego jeziora o kilka wiorst odległego, zwiedził pola i łąki i park cały, i po moczarach nawet łąził i nogi zamoczył i kataru aż dostał.

I z każdej takiej wycieczki wracał dziwnie smętny, zamyślony, jakby odmieniony. Zapodziała mu się gdzieś jego miastowa fantazja i snobizm, zrobił się jakiś inny, cichy, małowówny, coraz bardziej odmienny od dawnego Stefana. Nie poznawał sam siebie, kładł to na karb „nieszczęśliwego“ zakochania, ale mu było dobrze w tym nowym jakimś nastroju, z tem wrażeniem, co go obejmowało całego, z taką nieprzepartą mocą... I już nauczył się rozumieć szumy łąnów zbożowych, słuchał tak lubego grania wiatru po wierzchołkach drzew w parku, i rozumiał już czar ciszy leśnej, i podchwytywał gwarę strumienia i kłótnie ptaków, upajał się miodnym zapachem lip. Pociągały go żabie koncerty i cisza wieczorna, przerywana smętną fujarką, lub dalekiem szczekaniem psów. Wpatrywał się w zadumane, ciche gwiazdy i czekał na złoty wschód słońca, a nawet kochał już deszcz, bo on ziemi życie przecie niesie. I ten cały urok wsi, ta poezja ziemi naszej, chwyciły Stefana tak potężnie pod swą władzę i potrafiły zmienić go w tak krótkim czasie, iż zwróciło to nawet ogólną uwagę.

A panna Wanda patrzyła tylko i milczała...

Aż nareszcie nadszedł i dzień, w którym trzeba było wyjechać. Pan Stefan, który od owej rozmowy, nie mówił sam na sam z Wandą, zaczął dziękować za gościnność. Pożegnał się już z rodzicami panny, a gdy podszedł do niej i podał jej rękę, panna ujęła jego dłoń i zwróciła się do rodziców:

— Drodzy rodzice! Przedstawiam wam mojego

narzeczonego! A pan Stefan na chwilę zgłupiał ze szczęścia, a potem przypadł do rąk rodziców i narzeczonej.

A gdy ich zostawiono wreszcie samych, panna zarzuciła mu rączki na szyję.

— Stef! Mój!.. Nie brzydki mieszczuch, nie! Kochany, bo już odczuwa, zrozumiał naszą wieś— Stef przecie z naszych, zrosłych z ziemią...

I niedokończyła — bo już w tej chwili spadły na jej usta, usta jego, spragnione, gorące, by pić rozkosz pierwszego pocałunku...

WŁAD. JASTRZ. ZALEWSKI.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

HONOROWY STAN.

Chłopska moja
dola
Honorowy stan,

I bajką mi pieśni
Szumiął stary bór.

Przyroda z odwiecznych
Uczyła mnie ksiąg,
Jak w blaskach słonecz-
nych

Nie żałować rąk.

Jak w mrokach z ochotą
Imać silnie pług,
Jak zbożną robotą
Ziemi sptać dług.

* * *

Chłopska moja dola,
Honorowy stan,
W czapeczce z piórami
Biegłem raźnie w tan.

Migały sukmany,
Unosił się krzyk,
Gdy nasi „bywało“
Formują swój szyk.

Gdy nasi tańczą,
Rośnie w piersiach duch,
Bo jeden zwinniejszy
Jest od tamtych dwóch...

* * *

Chłopska moja dola,
Honorowy stan,
W chałupkach obrazy
Wygładają z ścian:

Najświętsza Matuchna
I Wszechmocny Bóg,
Czuwają nad losem
Wiernych swoich sług.

I nawet Im pono
Milszy chłopski stan...

Zrodziły go pola,
Wykołysał tan...!

BOLESŁAW SCHOEN-WOLSKI.



Dziewczyna z Suszek przy kołowrotku, gub. Grodz.
(fot. am. Wł. Grabowskiego).

Zrodziły mnie pola,
Wykołysał tan.

Śpiewakowie leśni
Ułożyli chór

REMIGJUSZ KWIATKOWSKI.

UTY OGRODOWE *) (Z JAPONSKIEGO).

WIŚNIE.

Wiśnie osypał już kwiat biały,
upojna wonność bije z gór,
wiosna, słoneczne dni nastały,
wśnie osypał już kwiat biały...

Oby się wichry nie zerwały
i nie przywlokły kłębnych chmur —
wiśnie osypał już kwiat biały,
upojna wonność bije z gór!..

CHRYZANTEMY.

Chryzantemy, chryzantemy,
czy to ziemia, czy to raj?
choź, do gaju dziś pójdziemy,
Chryzantemy, chryzantemy!...

Tu, przy klombie, usiądziemy,
w barwach ginie cały kraj —
Chryzantemy, chryzantemy,
czy to wiosna, czy to raj?

DĄB.

Dumnie się piętrzy na ugorze
prastary dąb — samotnik,
głębokie brózdy ma na korze,
dumnie się piętrzy na ugorze...

Daremnie smaga go i porze
jesienny wicher — psotnik —
dumnie się piętrzy na ugorze
prastary dąb — samotnik...

SOSNA.

Stoi smukła sosna,
pochyla koronę,
wesola, radosna
stoi smukła sosna...

Czy jesień, czy wiosna
igły ma zielone —
stoi smukła sosna,
pochyla koronę...

BAMBUS.

Bambus ma krasę uroczej dziewy,
jej czar i gibką jej postać,
wciąż go całują wicheru powiewy,
bambus ma krasę uroczej dziewy...
Czyż mogą jakie drzewa lub krzewy
we wdzięcznym kształcie mu sprostać?
bambus ma krasę uroczej dziewy,
jej czar i gibką jej postać...

BLUSZCZ.

Bluszcz się owinął i oplótł wkoło
moje pękate stągwie od wody,
aż się zaśmiała do nich wesolo,
bluszcz je owinął i oplótł wkoło...
Czy iść do studni? ból chmurzy czoło!
Nie, nie uczynię listeczkom szkody —
bluszcz się owinął i oplótł wkoło
moje pękate stągwie od wody...

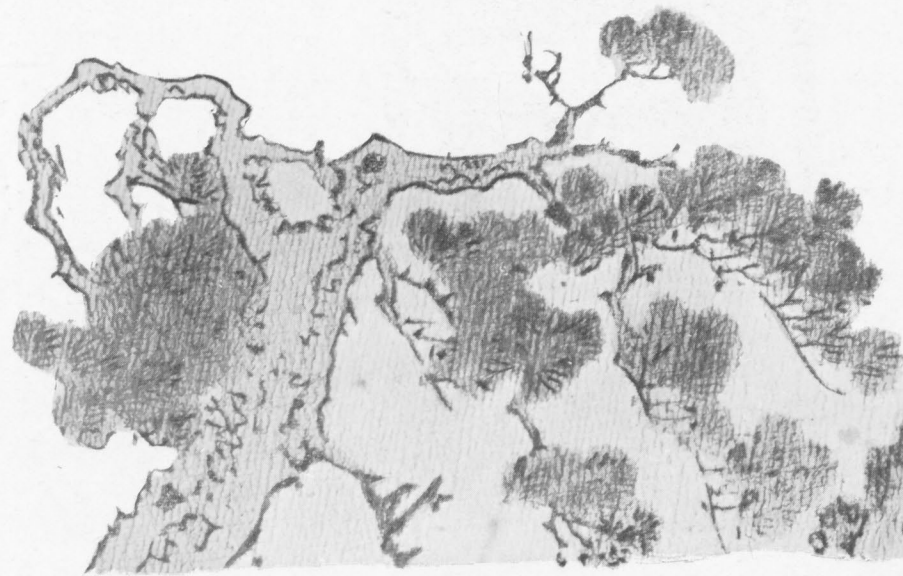
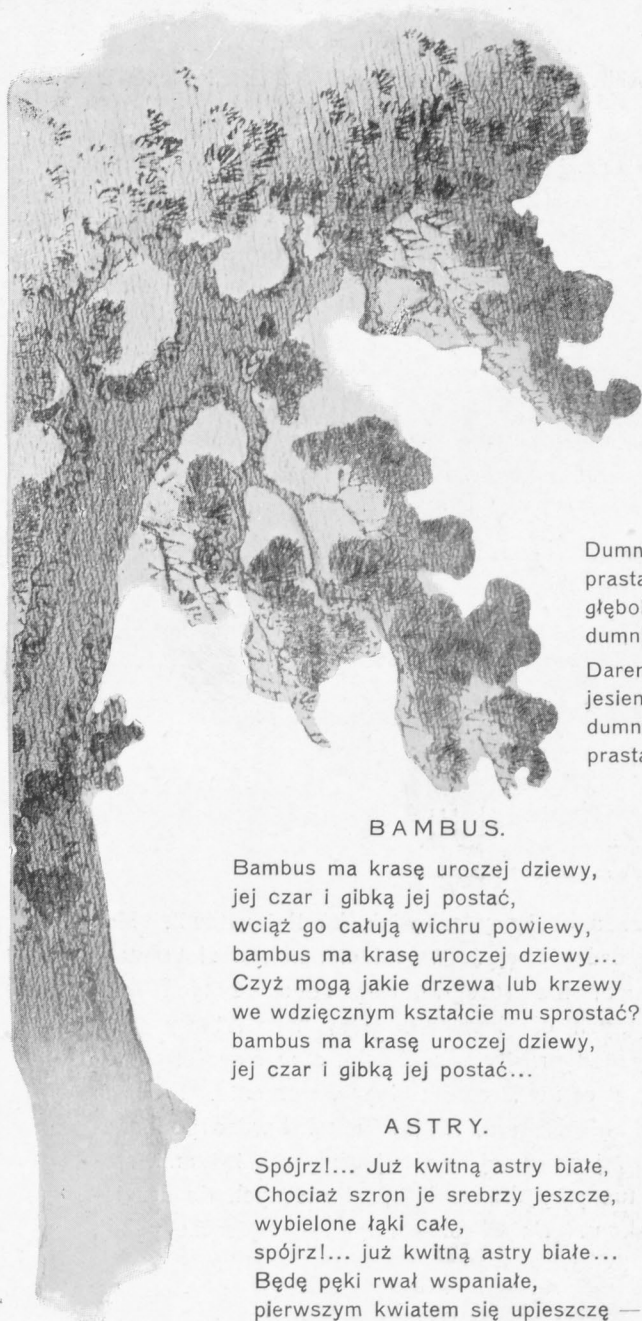
ASTRY.

Spójrz!... Już kwitną astry białe,
Chociaż szron je srebrzy jeszcze,
wybielone łąki całe,
spójrz!... już kwitną astry białe...
Będę pęki rwał wspaniałe,
pierwszym kwiatem się upieszczę —
spójrz!... już kwitną astry białe,
Chociaż szron je srebrzy jeszcze...

MALWY.

Malwy kwitną dziś w ogrodzie,
śmiałe, proste, jak żołnierze,
mają kwiatów pęk na spodzie,
malwy kwitną dziś w ogrodzie...
W blaskach słońca, przy pogodzie,
wciąż puszczaają pędy świeże —
malwy kwitną dziś w ogrodzie,
śmiałe, proste, jak żołnierze.

*) Uty ogrodowe stanowią najbogatszy i najbardziej oryginalny dział japońskiej mikropoezji.





WŚRÓD
PUSZCZY.
PAŁACYK
Hr. B. TYSZ
KIEWICZA.

*Fot. p. A. Zwo-
lanowskiego.*

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

„ROZKOSZ GRZECHU”.

Fragment z powieści, która się niebawem ukaże na półkach księgarskich.

W mieszkaniu Regera panował ład troskliwego o czystość męczyzny, porządek tak różny od tego, jaki stwarza miękka i doświadczona ręka kobiety, umiejacej zadziwiająco niewidocznymi środkami opromienić te same graty miłym ciepłem, niemal pachnącem, jak jej własne ciało. Nic podobnego nie można tu było zauważyć! Były tu tylko cztery wytapetowane ściany, zawieszane dobrymi kopjami z dobrych obrazów. Meble były tylko meblami, które zrobił obojętny

stolarz, a obojętny człowiek kupił i ustawił. Można by dać głowę, że na tej ciemnej, w złote ptaki otomanie, nie rozegrała się żadna z tych scen pamiętnych dla każdego, który liczy minuty dzielące go od przyścia kochanki, a w starości wspominając o tem, ociera łzę wzruszenia. Było to mieszkanie Regera, człowieka tak bardzo podobnego do tej posępnej, czarnej szafy z książkami, stojącej tuż przy drzwiach, prowadzących do drugiego pokoju. Bo Czesław miał drugi jeszcze pokój,



DWÓR
W
CIECHA-
NOWI-
CZACH.

*Fot. p. J. Bar-
cikowski.*

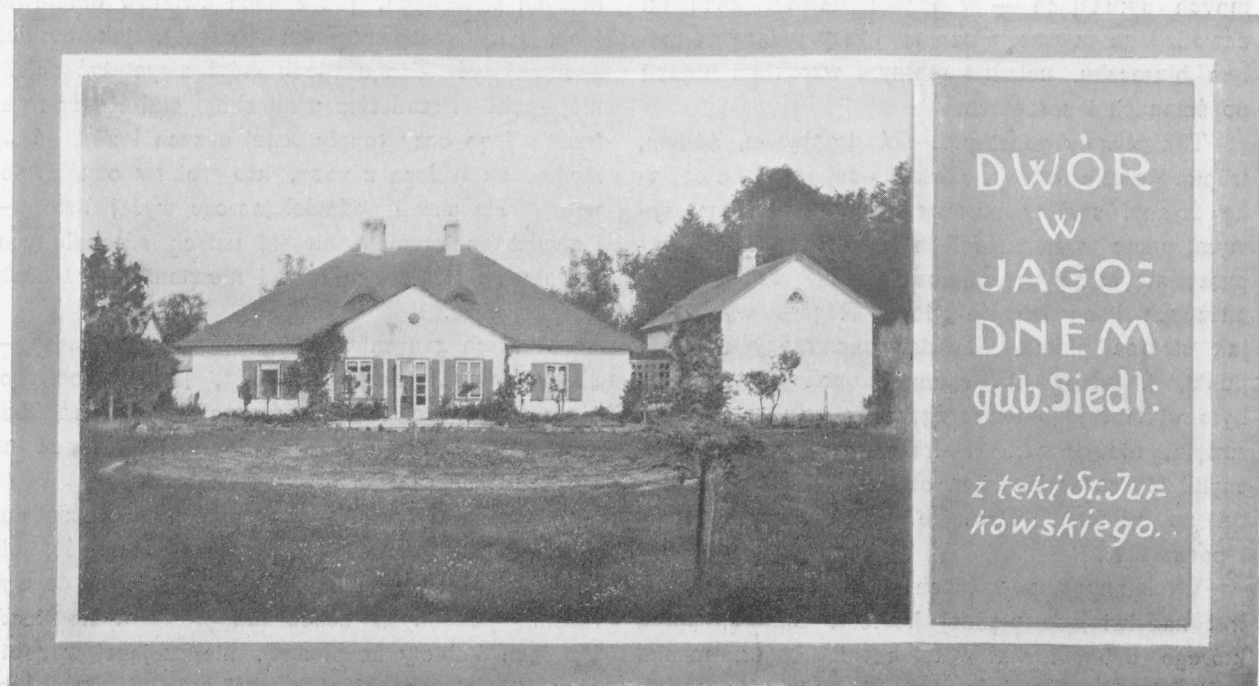


SOŁOMNA
P.P.
BOGDAN-
ZALESKICH

*Fot. p. Jaro-
szyńskiej.*

do którego jednak przy obcych nie wchodził nigdy. Był to pokój zamknięty dla stróża i dla licznych znajomych. Ci wiedzieli tylko, że są to ślepe drzwi, za którymi nic niema. Łatwo się jednak było można przekonać, że tak nie jest. Tuż bowiem, obok drzwi mieszkania Regera, były drugie. Te mogły tylko prowadzić do pokoju, łączącego się z jego pokojem. Lecz w pokoju tym nikt nie mieszkał i nikt w kamienicy nie pamiętał, aby mieszkał kiedykolwiek. Stróż sam np. sześć lat był stróżem tej kamienicy, więc napewno wiedział, że te dwa mieszkania zawsze należały do p. Regera, który zresztą nie lubił o tem mówić, i nie mówił nigdy. Wystarczał mu ten jeden, któ-

ry zajmował, czytując po całych dniach i wieczorach książki. Była ich pełna olbrzymich rozmiarów szafa. Sąsiedzi, interesujący się nim czas jakiś, mieli sposobność codziennie wieczorem zauważyć odbitą na rolecie jego skurczoną postać, siedzącą w fotelu, krytym brunatną skórą. Był to jedyny sprzęt, oprócz książek, który zabrał z domu ojca, po jego śmierci. Zabezpieczony materialnie, dostatecznym, jak na jego utrzymanie kapitałem spadkowym, przepędzał czas na przesiadywaniu w tym staroświeckim fotelu. W zimie jednak nie wychodził prawie wcale. Cztery ściany pokoju były jak grób, który okrywał żyjące ciało, przy próchnie życia wewnętrznego.



DWÓR
W
JAGO-
DNEM
gub. Siedl:

*z teki St. Jur-
kowskiego.*



Pojenie wołów.

Człowiek, jak naród, umiera, kiedy umierają jego nadzieje. I Reger zatem, nie żyjąc w sobie umarłą przyszłością swego dawnego szczęścia, nie żył współcześnie. Myślał był za światem, w tych chwilach, kiedy tamte drzwi otwierały się do niego i słyszał głos, który był śpiewem, westchnieniem rozkoszy, pocałunkiem, zapachem, miłością.

Ale te drzwi od ośmiu lat były zamknięte, a gdy się otwierały, to on sam je otwierał i wchodził cicho, stojąc nieruchomo jak w kościele, nie śmiejąc się poruszyć, jakgdyby na środku stała trumna z umarłym!... To był jej pokój!

Reger po chwili wstał i podszedł do drzwi. Otworzył je kluczem, wyjętym z biurka, wziął zapaloną świecę i wszedł. Ręka, trzymająca lichter, chwiała się, jak zawsze, gdy wchodził do tego pokoju, objęty wzruszeniem. Tu drżał! Jego śmiertelny spokój, taki widoczny we wszystkich innych sytuacjach — w pokoju dawnej kochanki zawodził go zawsze. Pozostawiając świecę na małym biurku, usiadł i mętnym wzrokiem błądził po ścianach i sprzętach.

Tak płynęły godziny... W drgającym, żółtym, trupim świetle świecy, oświetlającej zaledwie cząstkę ściany, sprzęty nurzały się w cieniu mroczystym, ginąc w ciemnościach i kątach pokoju! Zapuszczone rolety przepuszczały błądzący brząsk latarni ulicznych i na ich tle głowa Regera wyglądała jak ciemna plama. Siedział zapatrzony w jeden punkt, i, gdyby nie ciemność pokoju, możnaby było widzieć jego twarz zgaszoną i dziwnie szarą, zmiętą, nieżyjącą... Patrzył na portret i przechylał się coraz bardziej, chcąc uniknąć gry światła na płótnie. Wreszcie wstał, wziął świecę i podszedł...

W ciemnych, poważnych ramach — wisiał portret zadziwiająco pięknej kobiety. Malarz, przed którego dziełem stał w tej chwili Reger, musiał być obdarzony śmiałością wielkiego talentu, podej-

mując się tej pracy — ponad siły przeciętności. Portretowana kobieta, patrząca z ram obrazu żywymi oczyma, była jedną z tych istot, których piękność polega nie tylko na harmonijnych liniach! To była precudna symfonia kształtów, barw i uczuć! W jej piękności była dobroć, szlachetność, rozmach młodości, obłęd kochania ponad miarę. Była myśl, która odurzała, był cud natury, który swoją prostotą onieśmiela, a pięknnością oślepia!...

Na martwym płótnie, siłą talentu artysty, gorzał płomień istotnego życia. To nie był portret, nie była tylko nędzna podobizna notującego rysy modela z wiernością malarzyny, — biedoty, zarabiającego na życie robieniem dokumentów rodzinnych. W czterech ramach obrazu krwią gorącą drżała żądza młodości, z uśmiechem rozchylonych ust, sphywał czar niewysłowionego uroku, o tajemniczych zaklęciach, jak zapach kwiatów omdlewiający, jak brząsk poranka — czysty, jak otchłan pociągający! Ten uśmiech mógł zwyciężyć najsilniejszych! Przed tym uśmiechem stał Reger i patrzył. Jego oczy tonęły w jej oczach i zdawać się mogło, że walczą z sobą, kto wpierw opuści powieki. Po chwili podniósł jeszcze wyżej świecę — i zawisł spojrzeniem na jej ustach rozchylonych. Śmiały się ciągle; kusząco i niewinnie — radośnie i pobłaźliwie.

Uśmiech ten mówił: i „weź“ i „nie chcę“ — „kocham“ i „jeszcze poczekał“, jak uśmiech kobiety, która wie, że jest piękną i ubóstwianą bez granic. O, jakże inaczej śmieje się Gioconda na obrazie Leonarda!

Uśmiech Giocondy — to uśmiech mieszczyki dumnej ze swej cnoty, której pochlebia miłość, ale która nie lubi o niej słuchać, uważając, że do wyrażenia podobnych uczuć ma prawo tylko mąż. Uśmiech kobiety bezpłodnej, nie czującej w sobie żaru miłości, spokojnej o swój byt, nie pragnącej

szalonych uniesień, kobiety domowej, nie obliczanej na miarę Fidjasa... A tu, przed zamglonym spojrzeniem Regera, w przepychu drżały życiem przeróżne piękności, w bogactwie swoim odurzające. Dumna młodością swoją piękność lśniła radością, jak złote oczy na szafirach pawia idącego w słońcu. Tak, to nie był portret — lecz dziwne, czarodziejskie, mocą szatana, wykute w ścianie okno, przez które patrzyła — ona, i patrzyła prosto w oczy Regerowi, który drżał, słał się, jak pijany i mdłał, czując, że krew spływa mu z serca! Z wysiłkiem odszedł od portretu — i przystąpił do szafy. Tu wisały jej dawne ubrania ranne. Niebieskie, jasne, kremowe szlafroczy, jak wielkich rozmiarów motyle skrzydła, drżały w migotliwym świetle świecy; nieco spłowiałe, zgaszonymi barwami — przypominały Regerowi swoją dawną przeszłość. Brał je po kolei i patrzył jakgdyby nie znając, chociaż dźwięczały mu jeszcze w uszach szelestem słodkich, niezapomnianych chwil. O tak! Ona ubierała się w te lekkie, pachnące batysty, ilekroć przychodził do niej, zawsze z jednakowymi słowami na ustach: kocham cię!... Tu siadywali na tej niebieskiej w złote kwiaty otomanie i przezywali jedne z tych godzin niezapomnianych, po-

tężnych rozkoszą, tworzących otchłań wspomnień — zostawiających cień-śmierć po swoim odejściu! Reger postawił świecę i usiadł wyczerpany. Nie mógł przyglądać się tym pamiątkom, z których szeroką falą szła pamięć tej cudnej kobiety, przyglądającej się z uśmiechem z tła portretowego. Nie wydając jednego jęku, jednego westchnienia serca, kostniejącego mu w piersiach bólem śmiertelnego zimna, Reger wstał. Usiadł przy biurku — i spokojnym ruchem chłodnych rąk otworzył szufladę... Tam były listy. Reszta najdrogocenniejszych pamiątek: listy, zeschnięte kwiaty, wstążki, wycinki z gazet, opisujących jej ślub, kilka zaproszeń na ten niezapomniany obrzęd... i parę drobiazgów, których wartość, on jeden mógł określić! Wziął do ręki jeden z nich i przysunął do świecy, aby lepiej zobaczyć. Była to zwyczajna karta papieru, pokryta drobnym pismem w samym rożku. Czytał z prawdziwym wzruszeniem: „Kochany — chodźmy już stąd, ten stary nudziarz nie przestanie nigdy“. A trochę niżej, prawie niedostrzegalnie: — „Dora nie przestanie nigdy“. Naturalnie — kochać! Pamiętał dobrze, gdy na pewnej wizycie podała mu ten papier z uśmiechem. Wtedy pan domu właśnie, opowiadał długą historję choroby



Sterdyn i okolice. Wieś Dziecioty Dalsze.

swego wuja, cierpiącego na kamienie żółciowe, a wyleczonego, jego zdaniem, sokiem surowej marchwi. Reger położył kartę na dawnym miejscu, jak świętą relikwie. Za chwilę przed świecą ukazała się inna. Duży złożony kawałek sztywnego papieru, zadrukowany wytwornym pismem. Czytał:

„Mamy zaszczyt zawiadomić W. P... o ślubie córki naszej Doroty z panem Zygmuntem Rege-rem, który odbędzie się 20-go maja o 6 godzinie i t. d.“.

Każde słowo zabójcze, każda litera tchnąca śmiertelną trucizną... Odłożył i to na dawne miejsce — i znieruchomiał... Świeca dopalała się powoli i za kilka chwil miała zgasnąć, pograżając cały pokój w ponurym mroku. Nic nie mąciło ciszy. W pokoju tym nie było nawet świerszcza, nawet chrobotanie myszy nie przerywało grobowego spokoju, który otaczał siedzącego bez ruchu Regera i okrywał go niby śmiertelnym całunem. Dopiero po długiej chwili wyjął niewielką szkatułkę i otworzył. Były tam listy, poukładane starannie, przełożone zeschniętymi liśćmi paproci, które zapewne też miały swoją historję. Wyjął jeden z nich, wysunął z koperty i rozłożył na stole... Ręce mu drżały, kiedy przysuwał lichtarz do żółtego papieru i twó-żliwym, dziwnie załęczonym i pełnym boleści spoj-zeniem, śledził słodką kombinację liter — składa-

jących przedziwne wyrazy: „O mój jedyny, mój miły! Dlaczego powątpiewasz, że cię Kocham! Czy nie wierzysz moim słowom i moim spojrzeniom? Czy moje usta nie wypowiedziały tylekroć, że cię Kocham na równi z moim sercem, a moje oczy, które tak bardzo lubisz całować, czy nie potwierdzają mojej miłości, kiedy patrzą na ciebie? Najdroższy mój! Jesteś moim życiem i radością naj-słodszą! Kocham cię, tak bardzo, że obawiam się, czy można jeszcze bardziej. A chciałabym Kochać cię jeszcze więcej, jeszcze szaleniiej, jeszcze bezna-dziejnieij, nie rozstawać się z tobą nigdy—i ciągle usta twe całować... całować i słyszeć bicie swego serca, które się zrywa jakgdyby do lotu, kiedy mnie tulisz w swoich mocnych ramionach... O mój dro-gi!.. Jakże słodką jest miłość, jakąż radością nie-biańską jest Kochać... omdlewać z tęsknoty za tobą i wiedzieć, że za kilka dni znów będę przy tobie i znów ci popatrzę w twoje szare oczy—i zapytam, jak zawsze: „Czy nie przestaniesz mnie Kochać, mój miły Filonie?“...

Dalej nie czytał! Ręce opadły mu bezwładnie; zdawał się zasypiać w odurzeniu. Przymknął oczy i siedział sztywny, nieruchomy, niemal cuchnący zgnilizną.

Tymczasem świeca zgasła i nieprzejrzana ciem-ność — pochłonęła jego żywą, choć nieżyjącą postać.

ŻNIWA.

Każdy pszeniczny kłos — jak struna złota,
Każdy kłos żytni — jak srebrny dzwon drga. —

Nadchodzą spótem — praca i tęsknota...

Uśmiech promienny i piólnna tza...

O Ziemi czarna — wytrwała a płodna
Znów się nad tobą staje słońca cud...

Z lip już ulata przesłodka woń miodna...

Chlebem i miodem płacisz ty za trud...

Ziemię ogarnia wespółna omdlałość. —

Nad żniwem schyln twardy polski lud...

Maryja idzie — tam — gdzie szat Jej białość
Szlak Krajem znaczy... Znów iści się cud!...

Godzina cudów słonecznych wybija
Ponad kobiercem złotych polskich niw...

Królowa Niebios — Najświętsza Maryja,
Nawiedza pola. — Czy to już czas żniw?

Dojrzałe łany, jak pracowne ręce
Rozciąga Ziemia... Złotą kłamrą spiąć
Chce wsie i dwory... Tam, przy Bożej Męce,
Zejdą się bracia... Pójdźcie — pójdźcie żać.

Wy — coście sieli!... Bławat modre oczy
Podnosi w górę przez zbóż gęsty szlak,
Kąkol się zdradnie na smukły kłos toczy,
Podaje usta purpurowe mak...
Nad zbóż pełnością studźwicznym pogwarem
Koników polnych — muszek brzęczy chór,
Owianym ciężkim, słonecznym oparem
Motylom skrzydeł — ptakom — niestać piór...

K. WROCZYŃSKI.

PANIE.

Telefonowały do mnie do biura panie.

— Proszę przyjść dziś do nas o czwartej, koniecznie o czwartej, a nawet o trzeciej... Będzie nam pan bardzo, ale to bardzo potrzebny, — gruchał przez telefon głos panny Adzi, a miły tembr pani Nelli dorzucił: Najlepiej o wpół do czwartej.

— Z przyjemnością — odparłem, — ale wątpię, czy obowiązki pozwolą mi zwolnić się przed czwartą.

— Muszą pozwolić, sprawa nie cierpi zwłoki. Czekamy tedy pana z Nellą.

— Czy mogę ośmielić zapytać się, jaka sprawa?..

— Nie może się pan ośmielać. Będzie pan u nas punkt wpół do czwartej i przyniesie pan ze sobą jaką parę starych niepotrzebnych panu kamaszów, jaką używaną marynarkę, kamizelkę, no i te... jednym słowem garnitur. Tylko koniecznie, bo będzie bardzo potrzebny.

— Czy i szelki?

— Proszę sobie nie pozwalać! Więc do widzenia, czekamy napewno.

Zaintrygowany tym niezwykle popytem na moją osobę i garderobę, kosztem upokarzającej prośby do szefa uwolniłem się o trzeciej z biura, wybrałem w domu z pośród mej toalety parę lakierków i tenisowych pantofli oraz całkiem jeszcze porządny garnitur żakietowy i o punkt pół do czwartej z pokaznym tobołkiem stawilem się w mieszkaniu pani Adzi. Służąca wprowadziła mnie do bawialni, prosząc, bym zaczekał. Czekałem małą godzinkę, po upływie której zjawiła się pani Nella.

— Ah, jak to ładnie z pana strony, że pan już przyszedł, — powitała mnie z wdziękiem, ale i my też jesteśmy punktualne, już się ubrałyśmy.

— W takim razie ja przepraszam, żem się zawcześnił, — szepnąłem skonfudowany.

— Witam, witam pana, — rzekła wchodząc pani Adzia, — omal, że czekałyśmy. Ale nie traćmy czasu, tylko chodźmy i pan naturalnie z nami.

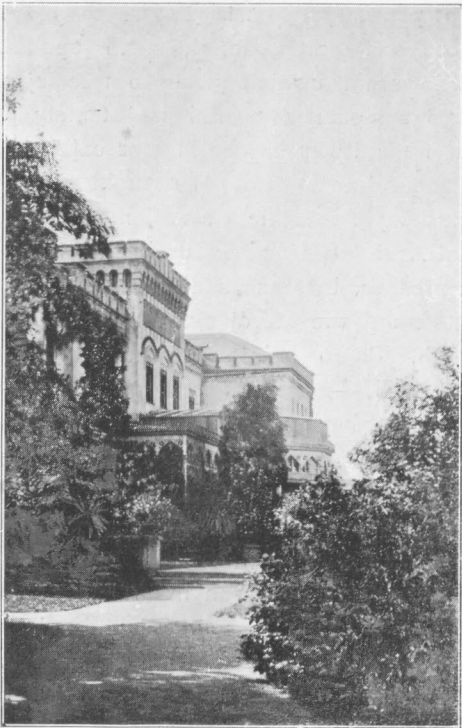
— Czy mógłbym się spytać, jakiej radosnej okoliczności mam zawdzięczać przyjemność towarzyszenia paniom i dokąd?

— Ah, panie, to cały dramat!

— Nie dramat, Nello — poprawiła pani Adzia, — to życie. Panie, jakie straszne rzeczy istnieją na świecie, jaka okropna nędza panuje. Wyczytałyśmy



Gielwany. Fragment z parku.



Widok na pałac w Będlewie od strony ogrodu.

z Nellą w Kurjerze o poleconej opiece czytelników młodej wdowie suchotnicy z dziesięciorgiem dzieci, z których najstarszy siedmioletni chłopiec jest sparaliżowany i wogóle... straszna nędza jednym słowem. Chcemy więc z Nellą iść tam, by im w czym dopomóż, a że to daleko, bo aż na jakiejś Burakowskiej, więc pójdzie pan z nami, nieprawdaż?

— Jedno słowo z ust pani...

— A garnitur przyniósł pan widzę,—przerwała mi pani Nella, — jak to ładnie. Jestem pewna, że mąż tej biednej kobiety będzie błogosławił pana dobre serce.

— O ile sobie mogę zdać sprawę, o pani,—zauważyłem, to wdowa każda tą się odznacza właściwością, że nie ma męża.

Uwaga moja skonsternowała panie nieco.

— A prawda,—mruknęła pani Adzia, jednak prawda. Ale, że też pan zawsze potrafi znaleźć dziurę w całym,—dodała niechętnie.

— Ależ moja droga, zawyrokowała pani Nella, jeżeli ta wdowa nie ma męża, to przecież ubranie tego pana, nada się napewno któremukolwiek z jej synów.

— Z których najstarszy,—pałałem, jak mnie panie poinformowały ma lat siedem i jest przytem...

— Pan jest nieznośny i uwagi jego są nie na miejscu. Chłopiec może sobie

kazać ubranie przerobić. Proszę wziąć swój pakiet i tę oto paczkę z biszkoptami dla biednych dzieci i niech mi pan potrzyima parasolkę przez chwilę.

— Mój panie, i moją... i te książki z czytelnicy. Zamienię po drodze.

Zaraz o piętro niżej z tobołem w jednej ręce, dwiema parasolkami i pliką książek w drugiej, omal, że nie zleciałem ze schodów.

— Boże, jaki pan... rozragniony,— spostrzegła dobrotliwie pani Adzia.

— Przepraszam, ale tak uroczo wygląda pani w tym kostjumie, że zapatrzyłem się i...

W istocie, pani Adzia wyglądała zachwycająco. Wprawdzie wszystkie poszczególne wdzięki tej osoby brane pod uwagę oddzielnie były, nie powiem że nieładne, lecz... „tak sobie“, — ale całość, całość tworzyła istotę dziwnie ponętą, fascynującą, niesłychaną. Są takie kobiety.

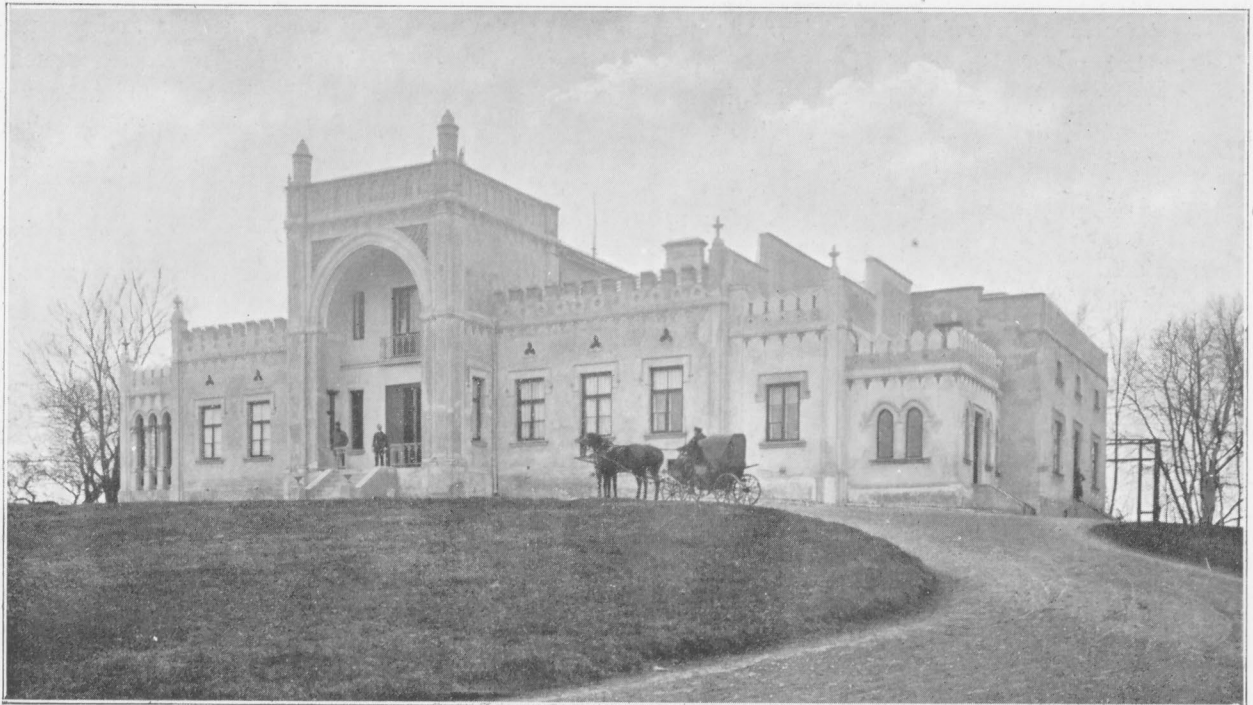
— A mnie pan nic nie powie, — upomniała się pani Nella, — jakże się panu podoba mój... ależ złamie mi pan parasolkę!

— Istotnie, tak mi się jakoś zaplątała... A pani kapelusz jest... — i odbiwszy się całą pojemnością mej osoby i pakietów od jakiegoś bardzo spieszącego przechodnia, dokończyłem komplimentu pod jakąś wystawą sklepową o dziesięć kroków od pań... — zachwycający...

— Gdzie się pan podziewa? — strofowała mnie pani Nella, gdym lawirując znów dotarł do pań,— może pan będzie łaskaw potrzyimać mi torebkę, póki nie włożę rękawiczek, proszę... — i pani Nella, oglądając się za przejeżdżającym nieznanym, uroniła wyżej wspomniany przedmiot w mym kierunku; na szczęście torebka zahaczyła się paskiem o guzik mego palta.



Turbijówka. Chata ukraińska (fot. amat. p. M. Potockiej).



Strzembowo, gub. Warszawska — wł. pp. Charzyńskich.

— Którędy najbliżej na Burakowską? — pytały mnie panie, gdyśmy wśród największego ruchu stanęły na Marszałkowskiej przy Wiedeńskim dworcu, tworząc swem towarzystwem jakby radę na chodniku.

— Przez Marszałkowską prosto, proszę pań... Potem (przepraszam pana!) przez Saski... (oh! pardon, pan wybaczy, taki tłok!) potem... (aj! aj! aj!)

— Ah, tak. Chociaż wiesz Nello, pogoda taka piękna, pójdziemy przez Nowy Świat, — zakonkludowała pani Adzia.

Poszliśmy Alejami Jerozolimskimi na Nowy Świat, panie wiodły bardzo ożywioną rozmowę na temat, czy pleureuse'a przy kapeluszu jednej ze znajomych z widzenia jest z prawdziwych piór strusich czy też imitacją, ja zaś eskortowałem damy milcząco. Na rogu Nowego Świata panie odruchowo skrzyły w stronę Alej Ujazdowskich. Na placu Św. Aleksandra spotkaliśmy panią Munię.

— A! dzień dobry, dzień dobry!

— Witamy! Jak się miewasz?

— Jak się macie moje drogie!

Panie w ciągu paru sekund zamieniły kilkanaście uścisków, kilkadziesiąt całusów i kilkaset wzajemnych komplimentów à propos swego wyglądu i tuszy.

— Jesteście same, — szczebiotała pani Munia, twój kapelusz, Nello, od „Balbiny“, nieprawdaż? Właśnie wybieram się do niej, chodźmy razem, poradzicie mi...

— Ależ moja droga, jesteśmy w towarzystwie

pana Zygmunta (pan Zygmunt, to ja); gdzież on jest, — szukała mnie wzrokiem pani Adzia.

Odbijany od snujących się po trotuarze przechodniów, starałem się krążyć możliwie najbliżej pań.

— O, jest! Witam pana, panie Zygmuncie, — i pani Munia z kokieteryjnym uśmiechem skinęła mi główką. Nie mogąc żadną ręką zdjąć kapelusza, zawstydzilem się i ukloniłem, jak sztubak, nogą.

Z za kościoła Trzech Krzyży ukazał się kondukt pogrzebowy.

— Ah moje złote, — świegotowała pani Munia, — byłabym zapomniała. Wyobraźcie sobie, umarł Posadzki... nie znałyście go?.. no, ten dyrektor towarzystwa asekuracyjnego „Uran“. Specjalnie przyszedłem na wyprowadzenie, bo mówiono, że za trumną będzie iść jego żona razem z jego... długoletnią flammą.

— Co za cynizm ze strony „tej pani“, — oburzyła się pani Nella, właśnie pogrzeb już idzie, pójdziemy zobaczyć.

I panie pofrunęły w kierunku tłumnego konduktu; opuszczony i zropaczony przeczekałem, aż się największy tłok przewali i kroczyłem za asystą w nadziei, że panie zaspokoiwszy ciekawość, wystąpią z konduktu i zoczę je wtedy. Jakoż istotnie, na Nowym Świecie przy rogu Królewskiej dostrzegłem panie stojące w gronie powiększonym przez jeszcze dwie nieznane mi damy. Przysunąłem się nieznacznie i skromnie stanąłem na uboczu. Jedna z nieznajomych mi dam mówiła:

— Przecież to skandal, skandal niesłychany. Z tamtą był po słowie, chodzili wszędzie razem, kompromitował ją, ubóstwiał ją, żyć bez niej nie mógł, a dziś dowiaduję się, że bierze ślub z inną! Okropność, jacy są obecnie ci mężczyźni.

— Patrz Lilu, — zawołała towarzyszką nieznaną damy, — właśnie jadą. O! ślubna karetka.

— To ciekawe, — zaopiniowały pozostałe panie, — chodźmy zobaczyć. I panie zawróciły Nowym Światem w kierunku Świątokrzyńskiego kościoła.

Nie śmiało przybliżyłem się do pani Nelli, chcąc jej przypomnieć o pierwotnym celu naszej wyieczki.

— Proszę pani... — A, to pan. Przecież, że się pan raczył odnaleźć! Gdzie się pan podziewa? To niegrzecznie zostawiać kobiety same na ulicy.

— Ależ, kiedy bo...

— Niech się pan nie wykręca. Postąpił pan niegrzecznie. Proszę przynajmniej teraz nas się pilnować.

W rozgwarze ożywionej gawędki wkroczyliśmy na schody kościoła. U wejścia nagła przeszkoda: woźny nie chce nas wpuścić jako „osoby przez biletów“. Przekomarzenie się. Sprzeczka. Wreszcie wszystkie panie jak jeden mąż zwracają się nagle do mnie.

— Pan jako mężczyzna winien nauczyć tego gburę, jak ma postępować z kobietami!

Usiłowałem go nauczyć, ale był tak niepojętny, że pozostaliśmy na schodach kościoła, przyczem

panie poczęły mnie zupełnie ignorować. Tak przetrwaliśmy z pół godziny. Na szczęście w toku rozmowy padła uwaga z ust jednej z nieznanymi mi dam, że dziś jest właśnie wyprzedaż u Gelbfisza.

— Nigdy nie kupowałam u żydów, — obruszyła się pani Munia.

— Moja droga, i ja... Ale cóż robić? U nich taniej.

— Ja też u żydów nie kupuję z zasady, ale chodźmy zobaczyć — zaproponowała któraś z pań, — to do niczego nie zobowiązuje, a mówiła mi moja krawcowa, że widziała u Gelbfisza cudną popelinę, stalowo-szarą, wiesz Słupska ma podobną bluzkę, i niedrogo. Przy-

tem jest tam jeden bardzo zabawny subjekt, który odstępuje mi resztki za bezcen.

Poszliśmy oglądać popelinę. Od zatonięcia w goryczy poniechanych zamiarów, broniła mnie słaba nadzieja myśli, że Gelbfisz ma sklep na Bielańskiej, więc bądź co bądź po drodze do wdowy.

W magazynie, panie co chwila spotykały swe znajome, ścisk i gwar panował giełdowy, przechodziliśmy kolejno od jednych do drugich, to i owo panie nabywały, liczba zawi-

niętek ze sprawunkami rosła w sposób zatrważający moje kwalifikacje tragarzkie, panie dostały wypieków a ja melancholji, gdy wreszcie udało mi się przypomnieć pani Adzi o wdowie.

— Na litość boską, jak można być tak roztargnionym! Dlaczego nam pan tego wcześniej nie przy-



Zahorce gub. Wołyńska. — Dwór od ogrodu.



Dzwonihy, p. Jaroszyńskiej.

omniał. Jak pan mógł?!.. Ależ idziemy, idziemy w tej chwili, tylko obejrzyć jeszcze te szutaże.

I istotnie, po kwadransie wyszliśmy. Panie były zachwycone zakupami, ja zaś jak prawowierny małżonek, udający się do licznej rodziny na wilegjąturę; miałem paczki we wszystkich kieszeniach, na każdym palcu, na każdym guziku od palta i marynarki i kamizelki i pod obydwoma pachami.

— A gdzie Munia, Lila, Jania, Ira i te trzy inne? — zaniepokoił się nagle panie.

— Widziałem jak wyszły oddawna, — czelnie zełgałem, — proszę pań, ta wdowa czeka na nas.

— Nie zwlekajmy tedy, Nello, weźmy dorożkę, bom tak zmęczona...

Kiedyśmy się dotłukli wreszcie do Burakowskiej ulicy było pół do dziewiątej. Stróż pod adresem, wyczytanym przez panie kategorycznie zaprzeczył istnieniu jakiegokolwiek wdowy w powierzonej jego opiece posesji. Zresztą posesja ta redukowała się do parkanu od frontu i jednopiętrowej, ale za to bardzo podejrzanej oficyny.

— Wszystkich likatorów znom, — oświadczył stróż, — nijakiej umierającej gdney u nas niemasz; stanęliśmy bezradni.

— Ależ, — upierała się pani Nella, — nawet zabrałam ze sobą tę stronicę kurjera, niech pan znajdzie (jest w torebce); zobaczy.

Pod latarnią konstatowałem, że pani Nella przez roztargnienie snadź przeczytała adres nie wdowy, lecz jakiegoś starca potrzebującego fotelu na kół-

kach, adres o wiersz wyżej. Fakt ten napełnił mnie gorzką powagą.

— Wyżej wspomniana wdowa, — rzekłem do pań, — mieszka na Szarej, to znaczy, na diametralnie przeciwnej ulicy miasta. Szanowna pani Nella pomyliła jej adres z adresem osoby poleconej czytelnikom w wierszu następnym.

Panie spojrzały po sobie i parsknęły śmiechem.

— To już chyba dziś nie pojedziemy, — rzekły.

— Wątpię, czy byłoby warto pójść i jutro, — kontynuowałem z jednakową powagą, — gdyż numer kurjera jest z przed dziesięciu miesięcy, czego szanowne panie zapewne nie zauważyły, do tej więc pory wdowa...

— Ah ta Joasia, — wybuchnęła pani Nella, — to jej wina! nie sprzątnęła starego kurjera z fortepianu. Skądże ja mogłam przypuszczać...

— Może mi panie pozwolą przynajmniej pozbyć się mego osobistego bagażu, — dodałem grobowym głosem i zwróciłem się z propozycją darowizny mego garnituru zakietowego

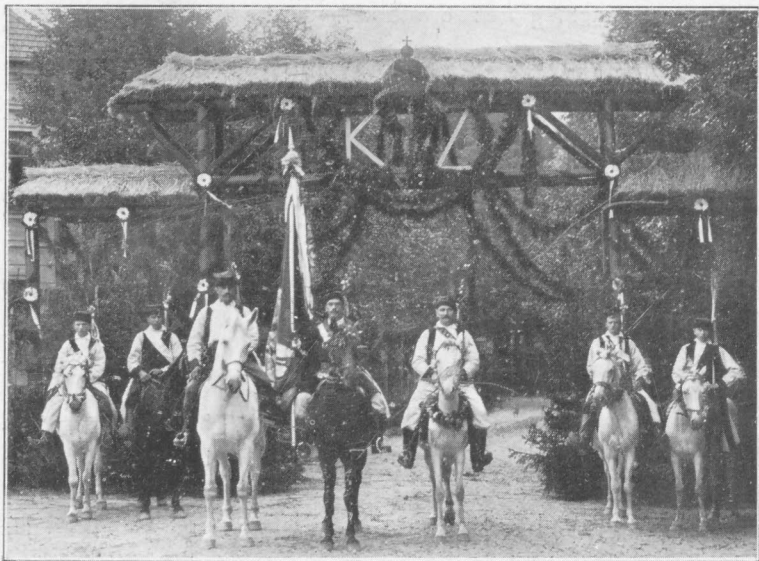
do stróża. — Dziękuję pańskiej osobie! Niczyich starych łachów nosić nie bede, — brzmiała wyniosła odpowiedź.

— Chodźmy panie, to gbur! — oburzyła się nagle pani Adzia, — widzę, że nie warto zupełnie przejmować się biedą tych ludzi. Mamy Nello nauczkę na przyszłość. Mnie przynajmniej ona wystarczy.

— I mnie też! — o panie!



Mostek (z teki p. J. L.).



Przywódcy banderji Krakusów, która oczekiwała parę arcyksiążęcą na granicy Balic.

AUSTRYACKI NASTĘPCA TRONU W BALICACH.

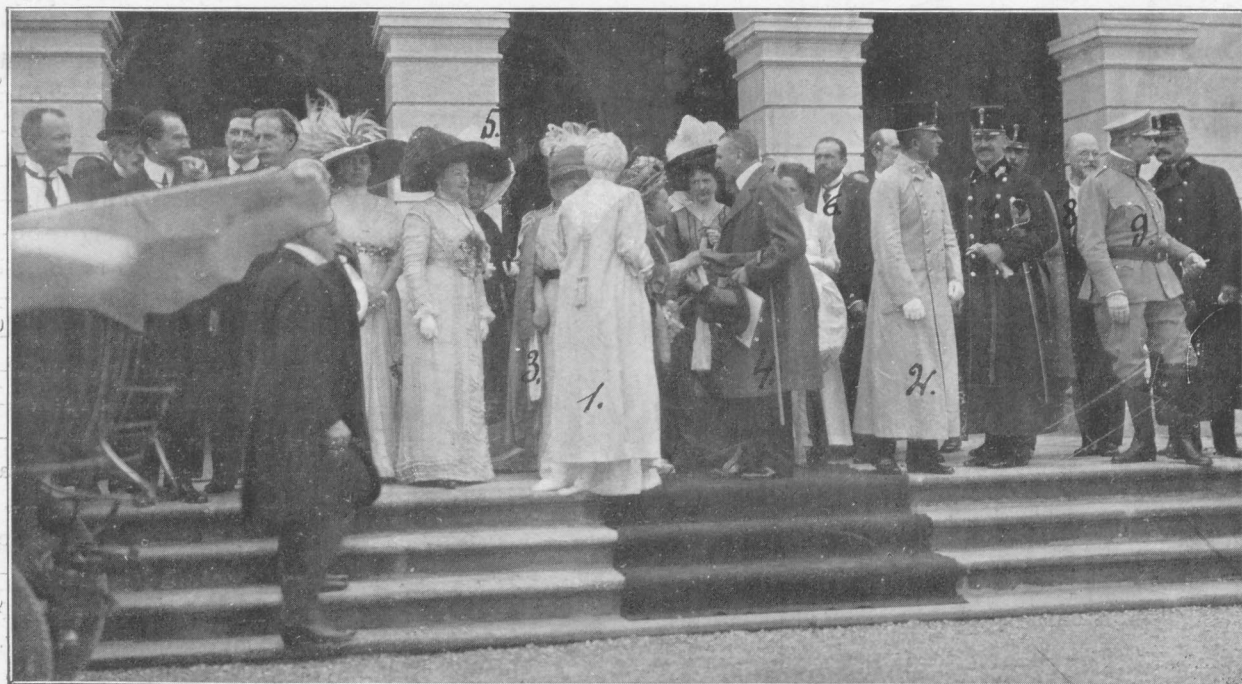
30 czerwca r. b. arcyksiążę Karol Franciszek Józef, przyszły następca tronu austriackiego i jego małżonka, arcyksiężna Zyta, przybyli do Balic, pod Krakowem do księstwa Dominików Radziwiłłów, których syn, książę Hieronim, ożeniony jest z arcyksiężniczką Renatą.

Na granicy Balic wzniesiona była brama, przy której ban-

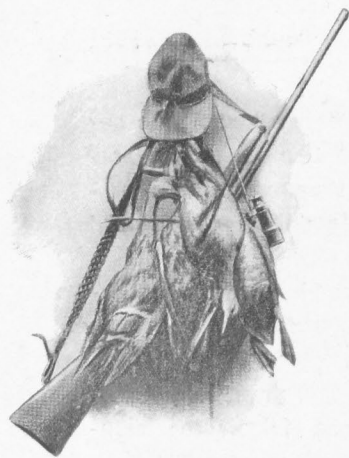
derja, złożona z 300 Krakusów, witała parę arcyksiążęcą, przybywającą autobilem z Krakowa.

O godz. 12¹/₂ odbyło się w pałacu balickim śniadanie na 50 osób, w którym oprócz arcyksięstwa, ich świty i księstwa Hieronimów Radziwiłłów, wzięli udział przedstawiciele władz i członkowie rodzin: Sapiehów, Lubomirskich, Zamoyskich, Potockich, Tarnowskich, Wodzickich, Mycielskich, Szembeków etc.

Liczne zastępy ludu okolicznego żegnały okrzykami parę arcyksiążęcą, która o godz. 3 odjechała w stronę Wiednia.



1. J. c. k. Wys. Arcyksiężna Zyta. — 2. J. c. k. Wys. Książę Karol Franciszek Józef. — 3. Księżna Dominika Radziwiłłowa. — 4. Książę Dominik Radziwiłł. — 5. Hr. Andrzejowa Zamoyska, z domu ks. Bourbon. — 6. Hr. Zdzisław Tarnowski. — 7. Książę Lobkowitz. — 8. Hr. Jerzy Mycielski. — 9. — Wojciech Kossak.



Kuropatwy.

Sierpień. Są już „farbówki“. Polowanie na kuropatwy się zaczyna. Jest ono w roku myśliwskim wstępem do właściwego sezonu, uwerturą graną *allegro* a nawet *appassionato* przez wszystkich myśliwych. Tych

prawdziwych, co łowiectwo uważają za sztukę i tych innych, wrogów zaciętych wszelakiego w polu, lesie, na łąkach i wodach żyjącego stworzenia, przekonanych, że dlatego jedynie one tam żyją aby oni mieli co — zabijać.

Rok myśliwski właściwy, jako sezon otwartego polowania kończy się w chwili kiedy w wigilię wiosny zaczyna się czas ochronny, pora miłości i lęgow zwierzyny. Następuje wówczas w łowiectwie cisza przerywana jedynie tępieniem drapieżników, krótkim ale pełnym wrażeń intermezzem toków i ciągów, wreszcie „pürszem“ na kozły, u nas zresztą uprawianym rzadko.

Potem znów małe polowanie na ptactwo błotne i wodne. Bekasy, kszyki, kaczkę. Każdy myśliwy ma w swoim raptularzu pamięci wrażenia z tych łowów ponotowane, ale zbiera je zwykle w młodości. Wakacyjne to polowanie i starsi myśliwi zaniedbują je zwykle, silniejszych wrażeń łakomi.

Ale na kuropatwy czeka każdy i pilnie bada czy są już farbówki, czy pora letniego odstrzału nadeszła.

Kuropatwy według obowiązujących u nas przepisów wolno strzelać od 16-go sierpnia do 28-go lutego. Ale właściwe polowanie na to ptactwo trwa zaledwie przez kilka tygodni — pół sierpnia i wrzesień, czasem jeszcze i w początkach października. Naturalnie polowanie z wyłłem. Potem kuropatwy już ostrzelane i „bystre“ już na „lotach“ stają się „brykliwe“, a na pustych polach trudno je z psem podejść. Strzela się je jeszcze przy polowaniach na zające w kotła lub „szrajfą“, kiedy ruszone przez naganę nadciągną na myśliwych, ale strzał to już przypadkowy i tak mało z takich strzałów pada kuropatw iż ilość ich nie wystarczyłaby nawet na obesłanie jednego tygodnia w warszawskich sklepach ze zwierzyną, sprzedających przecież przez całą jesień i zimę tysiące sztuk tego ptactwa.

Naturalnie — myśliwych zastępują przez te kilka miesięcy — kłusownicy.

Dusiciele, którzy co roku kilkadziesiąt tysięcy kuropatw w siłda i siatki łapią uprawiając ten urągający wszelkiemu prawu proceder tak swobodnie i jawnie jak pewnie w żadnym kraju europejskim...

Pisząc o łowiectwie naszym we „Wsi Ilustrowanej“ już zeszłym roku na fakt ten zwracałem uwagę. Zestawienie statystyczne rezultatów łowieckich ze 117 polowań odbytych w 183 dniach na różnych terenach Królestwa dało mi wówczas cyfry: 33615 zajacy, 9709 bażantów i 4091 kuropatw. Cyfry te naturalnie pochodziły z rozkładów myśliwskich na polowaniach *organizowanych*, zatem pojedyncze „polówki“ właścicieli terenów uprawiane w sierpniu i wrześniu z wyłłem rezultat ten mogą o połowę jeszcze tj. do 6000 sztuk podwoić. Na zimowych, przypadkowych odstrzałach też coś pada tego ptactwa — powiedzmy że dwa tysiące sztuk. Razem więc myśliwi nasi odstrzelują rocznie 8 — 9.000 sztuk. A konsumcja miejska wynosi znacznie więcej. Sprawdzając tę sprawę zbierając dane z różnych sklepów handlujących zwierzyną, przekonałem się że w 9 sklepach takich (handlach kolonialnych) liczba sprzedanych przez jesień i zimę kuropatw wynosi od 426 (*minimum*) do 1181 (*maximum*) sztuk; przeciętnie zaś wypada 618 sztuk. Zatem same tylko te 9 sklepów sprzedały w ciągu roku kuropatw 5562 sztuki. Ale sklepów zajmujących się tym handlem jest w Warszawie najmniej 30 — są prócz tego targi (halle targowe) i inne, jest jeszcze prowincja, która konsumuje przynajmniej połowę tej ilości co Warszawa (Łódź, Częstochowa, Lublin, Sosnowiec, Włocławek i inne miasta). Roczna konsumcja kuropatw wynosi u nas z pewnością kilkadziesiąt tysięcy sztuk, a myśliwi zabijają z tego na polowaniach zaledwie szóstą, w najlepszym razie czwartą część...

Handel kłusowniczy i dusicielstwo tego ptactwa przechodzi więc wszelkie granice. I nie wstrzyma



„Na polówkę“ (fot. p. J. Jabłonowski z Popowicz).



Jagodne (z teki p. St. Jurkowskiego).

go w dzisiejszych warunkach nic prócz chyba ogromnie pilnej kontroli samych myśliwych.

Stan kuropatw w gospodarstwach łowieckich rozwija się z roku na rok. Widziałem tereny, na których w zimie spotkać można na polach prawie na każdej mordze przestrzeni jedno i to dobre stado (Opinogóra np.). Ale im więcej ich będzie w kraju, tem więcej ich będą... dusili kłusownicy.

Bo kontrola w handlu miejskim w naszych warunkach jest niewykonalna, a zresztą zwraca się przeciwko interesom handlujących, właściciele poważnych sklepów, którzy zawsze będą umieli się od niej uchylać. Jedno tylko jest możliwe przeciwdziałanie: tępienie kłusownictwa! I nikt tego nie przeprowadzi prócz samych myśliwych!

Niewesoła to cyfrowa dygresja — ale przed sezonem konieczna. Może jakiś, choć drobny odniesie ona skutek!

* * *

Więc, jak powiedziałem już wyżej — na kuropatwy, na otwarcie sezonu kuropatwiego czeka niecierpliwie każdy u nas myśliwy.

Bo też przyjemność łowiecka w tem polowaniu, z wyżłem, po polach, jest zupełnie specjalna.

Niemogę zrozumieć myśliwych, którzy urządzają na swoich terenach masowe rzezie kuropatw, polując na nie z naganką, która wypędza im to ptactwo tak, jak bażanty, na linję stanowisk.

To strzelanina — ogień rotowy, ale nie polowanie.

Inaczej z wyżłem.

Połowa sierpnia. Żyto już w stodole, pszenica częścią także, stoją jeszcze późniejsze owsy, zie-

lone łubiny, koniczyny i nasienne seradelle — stoją pociemniałe, żółto-brunatnymi plamami upstrzone pola kartofli i jasne działki buraków i marchwi pierzaste poletka.

Z odsłoniętych już, gołych ścierisk ściąga tam wszystka zwierzyna, a kuropatwy — „kury“ — głównie.

Dziesięć pogodny, wyłożony sierpniem już trochę folgującem słońcem zdarzył Bóg od rana.

Wietrzyk pociąga, rosę suszy.

Lekka strzelba na ramieniu, pas ładunków pełen, pies dobry przy nożu, chłopak z torbą siatkową, po ptaki, z tyłu.

Wchodzimy w kartofle.

— Szukaj piesku!

Odrzuć kłuski rusza ochotny Rex i przekładać zaczyna po rząd-
kach, a wachluje ogonem, a trąbę do góry podnosi, wiatr chwyta, co chwila bieli się jego grzbiet

wśród wyrosłych wysoko, chwiejących się dokoła niego kartoflanych łęcin.

Naraz „ściąga się“. Łeb i szyję niskonadzie-
mią wyciągnął, ogon jak pręt stalowy wyprężył prosto, przychylił się na wyprostowanych jak sprężyny łapach i ciągnie delikatnie stąpając, przewijając się z bródzdy w bródzde, jak wąż pomiędzy nacią kartoflaną.

Stanął. Broń w pogotowiu — „pójdź dalej piesku“!

Stoi twardo. Doszliśmy tuż — pociąga jeszcze krok jeden, drugi — „ciekną“ kury rządками! znowu „pójdź dalej!“ znowu stoi — „pyf!“

Furknęło stado.

Najzimniejszy, najwytrawniejszy myśliwy drgnie



Polowanie na kaczki, dubelty i kszuki (ze zbiorów J. Mierzeńskiego).

przy tym cudownym furkocie. Par, par, par, par, par, par!.. Tylko kuropatwie skrzydła wydają ten niezrównany łoskot bijąc o powietrze w strachu i ucieczce.

Jest w tym furkocie wyraźny akcent przestrawu i szybkość tempa, która denerwuje przez sekundę, ale zarazem i szalenie podnieca.

Starym zwyczajem palimy do „starki“.

Spadła. Rozbite stadko zapada w kartofle. Pies przyaportował łupy — teraz dopiero zaczyna się główna myśliwska uciecha.

Rozbite „młódki“ siedzą po krzaczkach kartoflanych nie śmiejąc się ruszyć, wylekłe, zdumione. Pierwszy raz usłyszały świst strzela i trzask strzału. Są przerażone. Matki już niema. Można je wybrać strzelając po jednej, w miarę jak pies je odnajdzie, wystawi i wypchnie.

Ale to wybieranie miewa swoje niespodzianki

i emocje niezwykle, szybkie, dziwnie podniecające.

Pie stanął. Pyf! — wypycha kurewchwilę kiedy myśliwy składa się do niej, z pod nóg prawie mu się druga. Zdenerwowanie i nierzadkie

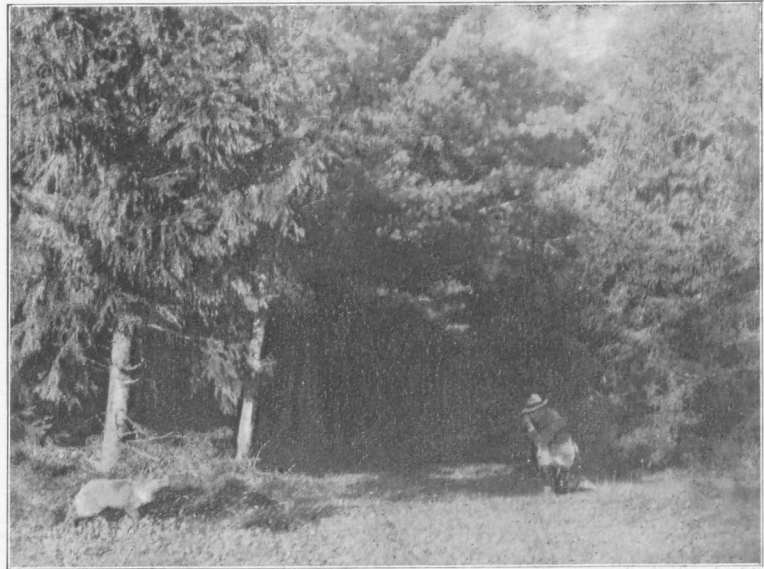


Jagodne. — Na kaczkę (z teki St. Jurkowskiego).

pułdo. Łamie się strzelbę, żeby świeże włożyć naboje — znów par, par, par! z boku!

Trzeba uważać gdzie zapadają i wybierać je po kolei.

Po paru strzałach równowaga powraca. Już nie denerwuje furkot skrzydeł. Myśliwy się zaczyna. Odzyskał zimną krew, dochodzi wolno, pewny że pies dotrzyma, strzela spokojnie, wypuszczając dobrze na dystans, nie pułduje już, potrafi przełożyć szybko z jednej strony na drugą i zrobić dubleta.



Głosków p. Grójecki. — Krytyczny moment.

(Konkursowe zdjęcie p. Stanisława Maciejowskiego).

Nie czuje się zmęczenia.

Chodzi się parę godzin dość pracowicie, często po nierównym, falistym i poprzecinanym terenie i byle „kury“ były — chodzi się sprężysto i rzeźko.

Dopiero potem po powrocie do domu i myśliwy i pies czują jaki spacer zrobili.

Ale torba-siatkówka pełna!

Wyglądają z niej płowe łuki skrzydeł i te szare, brązowe, ciemną podkową naznaczone piersi ptaka wychowanego na swojskich naszych polach, wiernego ich szarej doli przez cały rok, zimą tułającego się aż pod same stodoły za ziarnkiem strawy...

Pospolity to przecie ptak a jednak myśliwemu, jak żaden może inny, miły!..

Kuropatwa, przepiórka, zając — polska to polna zwierzyna!

KNIEJOWY.



P. S. Wczynie, kiedy pisałem powyższe uwagi o kuropatwach i kłusownikach — w pismach warszawskich ukazała się wzmianka, że już zauważono w handlu — kuropatwy i zające i to 2-go sierpnia!.. Potrzeba jakiejś energicznej akcji przeciwko temu koniecznie!



Głochów pow. Grójecki. (fot. St. Maciejowskiego).

Z KRONIKI TOWARZYSKIEJ.

Dnia 15 czerwca r. b. odbył się o godz. 11 rano w kaplicy Dzieduszyckich u O. O. Jezuitów we Lwowie ślub pana Henryka Juszkiewicza literata i poety, redaktora „Sztuki” warszawskiej z panną Natalją, hrabianką Dzieduszycką, córką nieżyjących Tomasa i Dominiki hr. Dzieduszyckich właścicieli Karolówki na Podolu galicyjskiem, a wnuczką szambelana Maurycego Dzieduszyckiego, historyka, kuratora biblioteki Ossolińskich. Obrzędu ślubnego dopełnił Ks. Józef Hrubant



Redaktor Henryk Juszkiewicz.



Natalja hr. Dzieduszycka.

superior O. O. Jezuitów. Kaplicę wypełniło liczne grono przedstawicieli spokrewnionych rodzin i świata literackiego; w orszaku ślubnym, z powodu żałoby w rodzinie panny młodej, uczestniczyła tylko najbliższa rodzina i świadkowie: poseł na Sejm Władysław hr. Dzieduszycki z Jezupola (syn Wojciecha) oraz starosta rohatyński Stanisław Potocki, ożeniony z siostrą panny młodej Marją z hr. Dzieduszyckich. Młodemu pocię-redaktorowi na nowe życie i Jego Małżonce ślemy serdeczne życzenia.

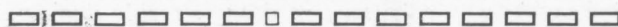
POLONEZ CHOPINA.

Kasztelanka, rycerz, w zamku sale
Wchodzą, dygiem wytwornym wspaniale,
A zamkowe zwierciadła i ściany
Zaczarował miesiąc wysrebrzany.
Weszli... pełni wonnych kwiatów chłodu,
Które wnieśli do sali z ogrodu
I przecudnej, a smętnej muzyki,
Co im w gaju śpiewały słowiki —
On rozmowę pierwszy cichą wszczyna,
Nad nią niebo gwiazdziste rozpina
„Sława, laury ozdobią mi skronie
Ach! a wtedy złączym swoje dłonie!”
Kasztelanka lekko się rumieni,
Chce mu wierzyć, że będą złączeni,
A na znak, że już jego jest cała,
Ręk mu swoich alabastr podała.
On dłoń bierze, pieści miękko, czule,
Potem cicho do serca przytuli
„Niech Bóg czuwa nad losem kochanka”
Drżącym głosem, rzekła kasztelanka.
Jakby chwila przeczuć ją stworzyła,
Wróżbą smutnych ust niechęcą była.
Ale wraz się piękny rycerz kloni,
Słodko szepce i miłośnie do niej
I gdy, w takiej siedząc szczęścia chwili,
Usta — kwiaty ku sobie złączyli,
Niewidzieli, że nadchodzą burze,
Które niebo gotowało w górze

I odjechał rycerz w świat daleki...
...Ona czeka... zda się płyną wieki
I pamięta, jako owej chwili,
On przysięgał! — jak usta łączyli...
I pamięta serc namiętne bicie
I pamięta — miłość — sen — i życie.

Czy dochował rycerz co ślubował?
Tylko, że już los mu pewnie kował
Śmierć niechybną... lub zapomniał może...

Kasztelanka mrze z tęsknot w klasztorze



ELEKTROKULTURA.

Postęp, jaki osiągnęła ludzkość w zastosowaniu tej, tajemniczej siły nazwanej elektrycznością, do usług człowieka, rośnie z każdym rokiem w zdumiewający sposób. Wiek nasz słusznie nosi nazwę „wieku elektryczności“; siła ta odsłania nam coraz nowe sekrety swojej potęgi i staje się uniwersalnym motorem mechanicznej pracy na całym globie.

W rolnictwie elektryczność jednak dotąd niewielkie miała zastosowanie; poza oświetleniem używano jej tylko jako motoru w przemyśle rolniczym; w Ameryce czyniono pewne próby zastosowania motorów elektrycznych przy uprawie roli i młocze zboża, ale rezultaty nie wykazały praktyczności tych urządzeń.

Spróbowano jednak eksploatować siłę elektryczności w innym kierunku, wykorzystując mianowicie jej wpływ dobroczynny na jarzyny, kwiaty, zboża i wogóle wzrost roślinności.

Próby w tym kierunku czyniono już od stu lat, ale nie wychodziły one dotąd poza obręb laboratorjów uczonych, nie weszły w okres specjalnych badań agronomicznych.

Dopiero Grandeau i Berthelot stworzyli dla tych badań szersze podwaliny i nazwali zastosowanie elektryczności do kultur rolniczych—*elektrokulturą*.

Pierwszy z nich, bardzo w swych doświadczeniach skrupulatny agronom, opierając się na fakcie, że atmosfera kryje w sobie olbrzymie zasoby elektryczności naturalnej, chciał przekonać się czy elektryczność ta wywiera wpływ bezpośredni na świat roślinny. W tym celu zasadził on dwie młode roślinki tytoniu w dwóch skrzyniach metalowych. Jedną z nich nakrył siatką w formie klatki, z cienkiego żelaznego drutu, drugą zostawił wolną. W skrzynce nakrytej tytoń izolowany był od wpływu elektryczności atmosferycznej, w skrzynce zaś odkrytej odczuwał — rzecz prosta, jej wpływ w zupełności.

W rezultacie okazało się, iż tytoń który rósł odkryty rozwinął się dwa razy silniej od swego izolowanego sąsiada i zyskał na wadze o 95%.

Wobec takiego wyniku Grandeau poczynił nad roślinami zbożowymi i kukurydzą dalsze doświadczenia, które w zupełności stwierdziły hipotezę, że energia elektryczna jest niezbędną dla normalnego rozwoju roślin; o ile ilość jej w kulturze tych roślin się zmniejsza, rozwijają one się źle, niedostatecznie, o ile się tę ilość zwiększa, rozwój jest lepszy, bujniejszy.

Po stwierdzeniu tego faktu ciekawość uczonych badaczy skierowana została ku wyszukaniu jego przyczyn pierwotnych.

Dr Polacci w Pawji poczynił w tym kierunku setki obserwacji. Doprowadziły go one do wniosku, że elektryczność działa pobudzająco na korzenie roślin, a w szczególności na włoski korzeniowe i że przepływając przez tkanki komórkowe, pobudza i ułatwia krążenie soków w roślinach.

Ale i ziarno też nie pozostaje obojętne na magnetyczne fale, które je pobudzają do jaknajprędszego wypchnięcia w powietrze i światło swego kielka.

Rosyjski botanik Spechniew, czyniący swe doświadczenia w Kijowie, elektryzując nasiona, doszedł do tego, że przyspieszył kiełkowanie ziarna żyta o 1 dzień, grochu o 2 dni, fasoli o 3 dni, słonecznika o 7 dni. Porucznik Basty, przy podobnych eksperymentach doszedł do wyników jeszcze lepszych, zyskując przez elektryzację nasion wcześniejsze kiełkowanie w roślinach zbożowych o 5 dni, a w burakach o 10 dni. Wreszcie pewien uczonej angielski przyspieszył przez elektryzację kiełkowanie bawełny z 8 dni na 7 godzin!

Te wyniki doświadczeń postanowiono zastosować w praktyce. Do celu tego użyto piorunochronów Basty'ego, które chwytają automatycznie elektryczność atmosferyczną. W zastosowaniu ich jednak na dużych przestrzeniach pól wynikły poważne trudności z powodu kosztów, a nadto piorunochrony te funkcjonują daleko lepiej po ogrodach, gdzie ziemia jest zawsze w pewnym stopniu wilgoci utrzymywana, co działanie ich ogromnie ułatwia. Zdecydowano się więc na dosyłanie uprawnym polom elektryczności statycznej.

Pomysł taki wydaje się w pierwszej chwili bardzo fantastycznym i również kosztownym. Zastosowano go jednak na polach stacji biologicznej w Dolhelm (Niemcy) i w szkole rolniczej w Charlottenburgu pod Berlinem, gdzie inżynier Breslauer poczynił odnośne a bardzo ciekawe doświadczenia.

Najdalej jednak doszła w swych doświadczeniach z zakresu elektrokultury amerykanka, miss Dudgeon. Pokryła ona w tym celu pole przestrzeni 3,2 hektarów a zasadzone ziemniakami, siecią drutów na wysokości 4 metrów od ziemi, po których krąży prąd elektryczny o wysokim napięciu.

Rezultat tej próby był taki, że miss Dudgeon zebrała na polu, wystawionem na działanie prądu od 1600 do 5700 kilogramów ziemniaków (stosownie do gatunku) więcej z hektaru, niż na polu obok położonem, pozbawionem jednak tego spotęgowanego działania elektryczności.

Są to wprawdzie dopiero próby, lecz wobec bajecznie szybko dziś rozwijających się postępów

wiedzy technicznej, staną się one niezawodnie i to nawet w krótkim czasie nader ważnym czynnikiem w rolnictwie postępowem a przede wszystkim w ogrodnictwie. Naturalnie są to rzeczy kosztowne wymagające specjalnych instalacji. Ale jeżeli koszt ich urządzenia opłaca się tak szybko i tak donośnie, to byłby to jeden z najrentowniejszych nakładów rolniczych.

Zresztą koszty instalacji, w pojedynczych częściach przynajmniej będą się obniżać przez eksplo-

atację stacji i w innych kierunkach, oraz przez dążenie ogólne do osiągnięcia możliwej taniości tych rzeczy.

Trzeba jednak — i to jest najważniejszą rzeczą — dokładnie zbadać wpraw próby czynione z elektrokulturą w Niemczech i powtórzyć je u nas na stacjach doświadczalnych.

Centralne Towarzystwo Rolnicze ma w tym kierunku bardzo wdzięczne pole dla wprowadzenia do krajowych gospodarstw, tak ważnej innowacji.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

W Krakowie, owym etapie podróznym, gości galicyjskich uzdrowisk w pewnych porach bywa dwa razy do roku, z końcem wiosny i z początkiem jesieni specjalne *intermezzo* teatralne obliczone właśnie na przelot letników. Dawniej ubóstwo repertuaru ograniczone było w tym czasie do przedstawień „Kościuszki pod Racławicami“, czasem jeszcze dodawano „Gwiazdę Syberji“ Leopolda Starzeńskiego, nad którą, jak mówi Feldman, „więcej Polki łez wylały niż nad Anhellim“. Zwyczaj ten takich przedstawień dla „przejezdnych gości z Królestwa“, dawał i daje do dzi dnia praktyczne rezultaty kasowe teatrowi krakowskiemu, zwłaszcza od czasu kiedy do repertuaru tych „gościnnych“ przedstawień przybył Wyspiański.

Od tej właśnie chwili daje się zauważyć w umysłowości szerszych sfer ziemiaństwa naszego pewien zwrot ku głębszym refleksjom, pewna dość żywa chęć zaznajamiania się z przebiegiem ewolucji literackiej w kraju.

„Wesele“ zaczęło na umysłach więcej może niż na sercach tych „gości“ nic pewnego sympatycznego porozumienia z twórczością i dążeniami „Młodej Polski“, obudziło ciekawość dla tych zapasów „Wyzwolenia“, dla zmagania się współczesnego, najmocniejszego, geniusza twórczego Polski, ze zmorą miałkiej rzeczywistości i z wiekiustymi prawami życia, których kanony on na nieśmiertelności bytu murował.

Odczucia tych podniebnych, mocarnych wzlotów, zadrgały we wrażliwości epigonów pokolenia wykarmionego w teatrze Zalewskim i Lubowskim i odwróciły w ich duszy jakąś skibę umysłowego ugoru, jak leziesz na poleśne pustacie puszczoney.

Gdyby w te świeżo wyorane bruzdy, w te gotowe pod posiew świeży zagony, rzucić przygarść złotego ziarna myśli i twórczości duchowej wciągałyby się te bujne gleby w umysłowy płodozmian, poczęłyby się zwolna krzewić coraz szerzej po nich

zielona ruń oziminną nowych pojęć, nowych przymysłów, współczesnych dążeń polskiego ducha do swej syntezy bytu.

W artykule „Wieś i Teatr“, drukowanym we „Wsi Ilustrowanej“ w maju, starałem się udowodnić, że właśnie dla rozwoju kultury, dla pokrzepienia ducha mieszkańców wsi, stanowi teatr czynnik bardzo doniosły. U nas jednak, przykładu Krakowa nie naśladuje się wcale. Warszawa ma także swoje przyloty gości wiejskich. Zielony karnawał, wyścigi, jarmark wełniany, w tym roku wystawa sportowa, wszystko to ściągają w końcu maja, w czerwcu, dość liczny przyływ ziemiaństwa. Potem w jesieni inne znów potrzeby — przywożenie dzieci do szkół, narady rolnicze, interesy w stolicy, sprowadzają drugi taki przyływ. Nie są to naturalnie przyływy regularne, dokładnie pod względem ilości i terminu nie dające się oznaczyć, ale są.

Tego roku np. w maju i czerwcu przyływ ten był bardzo silny.

Teatr nasz nie uczynił jednak z tej racji — nic. Repertuaru zdradzającego choćby trochę troskliwości o wypromieniowanie trochę ducha w tych sprzyjających okolicznościach, na te tak przychylnie teatrowi sfery — nie było nawet śladu...

Że nie liczy się z tem dyrekcja teatrów rządowych, dla której kasowy, może zresztą niezbyt wielki z tej racji ewentualny przyrost dochodów jest dość obojętny — temu się nie dziwimy. Ale dla czegoż nie zwróci na to uwagi kierownictwo literackie repertuaru?... Wszak temu kierownictwu polskiemu, powinnyby chyba zależeć na rozwoju polskiej kultury, na silniejszym promieniowaniu jej prądów w te właśnie sfery, które z natury rzeczy odsunięte są od jej ognisk?..

Oto jak się przedstawia repertuar stołeczny od paru już tygodni: „Wielkie bractwo“ Fredry, z Kamińskim — „Bogaty Wujaszek“ z Kamińskim, —

„Kawiarenka“ i „Bez rezultatu“ (farsy francuskie), „Wróg kobiet“, (opretka niemiecka); — w teatrze Małym, polskim, prywatnym: „Grzeszna noc“ (farsa francuska), — „Tajemnica żółtego pokoju“ (francuska przeróbka z francuskiej sensacyjnej powieści G. Leroux); — w Bagateli: „Piękny sen“ (opretka niemiecka) i „Marjonetki“ (francuskie widowisko). I to już wszystko. Można by jeszcze dołożyć teatryk letni na Dynasach, gdzie grają różne jednoaktówki przerabiane i tłómaczone z francuskiego i niemieckiego.

Cały sezon złożony zatem z różnych importowanych cudzych conceptów — i jedno wznowienie Fredry, z Kamińskim wprawdzie, ale dość nie-szczęśliwie wybrane.

Trochę świeższego oddechu przyniósł Nikorowicz swoim „Gołębnikiem“ słonecznym a Popławski w teatrze Małym wystawił „Miód Kasztelański“ na uczczenie rocznicy Kraszewskiego, a obecnie wystawia przeróbkę sceniczną z „Placówki“ Prusa.

Nasz repertuar jest bardzo ubogi obecnie, w teatrze prowadzonym bez planu, na los kasowego szczęścia; ale przecież z całego roku można by urządzić miesięczne *revue* grając w tym czasie po kolei wszystko, co tylko było więcej wartościowego w tym okresie. Wieś, bawiąca w tym czasie w stolicy miałaby tym sposobem możliwość zajęcia się teatrem nie tylko z punktu widzenia... choreografii.

Jedna ze znajomych mi wiejskich pań, bawiąc w tym czasie w Warszawie, przy spotkaniu w Bagateli znalazła jeszcze inne do uskarżań się powody.

— Chciałam panie iść do teatru; bo skutkiem interesów muszę parę dni przesiedzieć a właściwie przebiegać w Warszawie. Wieczorem choć zmęczona niemożę w hotelu wytrzymać. Upał, duszno! a znajomi prawie wszyscy powyjeżdżali. Ot, dziś dopiero znalazłam towarzystwo by przyjść tutaj odetchnąć w tej Bagateli. Ale wczoraj myślę sobie — pójdę chociaż do Letniego. Jakoś tak dziko być w mieście i nie zajrzeć do teatru! Jeszcze ja tak lubię... więc poszłam. Dają panie tę Dulską. Widziałam to już trzy razy. Dwa razy w Małym teatrze i we Lwowie przed trzema laty. Ale myślę sobie — że na rządowej scenie pewnie obsada wyjątkowa, artyści znakomici — zobaczę, niech tam, po raz czwarty!

— I jakież wrażenia?

— Przygnębiające. Poco oni panie, to grają?! ja rozumiem: Zapolska! ale dopiero co grali przecież jej „Kobietę bez skazy“. Przynajmniej to był nowy utwór więc czy ktoś godzi się na sposób pisania Zapolskiej czy nie — grać warto i obowiązkiem kulturalnym zobaczyć tę nowość. Ale ta Dulszczyzna? Panie! to jest typ już tak przerysowany w naszej literaturze ostatnich czasów, że aż ekliwo

się robi. Wszędzie dziś spotyka się ślady Dulszczyzny. To są może mimowolne takie reminiscencje, ale one żyją. I co gorsze, zaczynają się generalizować. A to jest jednak fantazja literatury o życiu. Bo to tylko jeden maleńki kącik życia! zupełnie specjalny i — niezbyt wonny! Bucha z niego w życie jakiś odór kuchenny kwaszonej kapusty i przypalonego masła i przejmuję wszystko dokoła! W połowie sztuk naszego współczesnego repertuaru słychać wciąż za kulisami rozpaczliwe, uparte klapanie przydeptanych pantofli pani Dulskiej!

— To dowodzi właśnie że kierunek jest żywotny...

— Panie, najsilniejsza, najjaskrawsza, najkrwawsza satyra stępi ostrze skoro się niem codziennie uderza w teatralną rampę. Zresztą — fotografia w literaturze ma swoim zdaniem tylko wartość pomysłu. Ale ta wartość, powtarzana, przechodzi w manierę, nawet przy mistrzowskim wykonaniu. Wie pan, jeden z moich znajomych zachwycał się ogromnie Goyą; poskupował reprodukcje i poobwieszał pokój. Po roku wyrzucił wszystko. Zbrzydły mu te wrażenia, dusiły go, zatrwały każdą chwilę odpoczynku. Niemożna widzi pan, przez całe życie, codziennie, patrzeć na takie sceny. Wrażenie najpierw obojętnieje, potem nudzi, w końcu brzydnie ostatecznie. I wówczas zapomina się o potrzebie i celowości takich wrażeń, o myśli z jaką do wywołania ich dążył w swej twórczości autor. Zostaje tylko niechęć wywołana przesytem. Dla was, recenzentów, to eksperyment; chcecie zobaczyć jak też to wyjdzie w nowych ramach. Ale nam, przeciętnym widzom nie idzie o te ramy; my do teatru przychodzimy po wrażenie samej rzeczy, ale nie po drobiazgi jej wykonania!..

Chcąc skrócić rozmowę zaproponowałem, by posłuchać „Fraszek aktualnych“ — właśnie je zaczął wygłaszać nieszczęśliwy we fraszkach p. Ulanowski.

— Wolę już iść na lody do Lardellego — odpowiedziała mi nieprzyjaciółka pani Dulskiej — to aktualniejsze na ten upał będzie! A co do fraszek — to już wasz specjalny, warszawski gust! lubicie słuchać jak każdą kwestję rozwiązuje ktoś z estrady ciągniętym za uszy dowcipem. I zdaje się wam, że sprawa już załatwiona... jutro będzie druga, również aktualna i również „fraszka“ jej się pozbędziecie...

— W „Bagateli“ jesteście, droga pani!

— „W Fatheringay jesteś królowo!“ tak zdaje się mówi lord Lester do Elżbiety...? Ale Marji Stuart to nie pomogło... no! chodźmy już na te bagatelne lody!..

NICK.



Kronika wiejska.

O kształceniu polskich dzieci. — Sprawa działalności społecznej i prawnej wsi polskiej. — Około usiłowań podtrzymania i rozszerzenia posiadłości ziemskiej. Na dobro wsi i konieczność powiększenia sposobów zarobkowania ludu wiejskiego. — Jubileusz Skargi.

* * *

Najmłodniejszą sprawą współczesną jest obecnie w całym kraju sprawa „chłopskich dzieci”. We wszystkich trzech dzielnicach zwrócono odrazu uwagę na to, wielce doniosłe zjawisko społeczne, i na związaną z nim potrzebę społeczną.

Chodzi o dzieci, które wieś polska wysyła do miasta po wiedzę.

Jest ich, co prawda, niewiele, na palcach bodaj zliczyć się dają, bez względu na to, że wcielenie mas ludowych do życia narodowego, rozniecenie w chłopach włościańskich pełni świadomości narodowej, wprowadzenie trosk i pragnień istotnie obywatelskich, do ich pojęć i serc, uważa *Stowo* za jedno z najważniejszych, „a może najważniejsze” zadanie nasze.

Zachodzi jednak pytanie, jak osiągnąć korzyść z kształcenia dzieci chłopskich?

Sposobem najprostszym i najłatwiejszym wydaje się *Stowu*, aby polskie dzieci chłopskie, oddawane do szkół, po ich ukończeniu, wracały na zagon ojcowski, i tam stawały się czynnikiem postępu, promieniem światła, dźwignią społeczną. Ma to podobno miejsce w Czechach, podobno nawet w Cieszyńskim, u nas jednak, w najkulturalniejszej nawet dzielnicy, w Poznańskim, nic się podobnego nie dzieje.

Dziennik Poznański pisze w tej sprawie:

„Takich, którzyby zdobyli trudem wiedzę poświęcili tej ziemi, która ich wychowała i wykarmiła, pośród synów włościaństwa naszego, niestety, niema. Nie mamy ani jednego „chłopa” z wyższym wykształceniem rolniczym, nie mamy ani jednego „inteligenta”, któryby powrócił na ojcowski zagon i pośród swoich braci stanął jako świecznik oświaty, nauczając nie tylko słowem, ale przykładem codziennego życia — a nie mamy dlatego, że nie przedarło się jeszcze do szerokich warstw włościaństwa to poszanowanie wielkie, ta uprąwna duma z „chłopskiego” stanu.

„Dzisiaj, kiedy wobec tak szybkich postępów rolnictwa nauka jego gruntowna stała się już koniecznością, a włościanie nasi poważnie nieraz obszary ziemi w rękę swą posiadają, „chłop” wykształcony, któryby z ziemią swą stosunku nie zerwał, powrócił do niej i osiadł na

niej i pracował, byłby wprost apostołem zdrowego postępu, a zarazem łącznikiem nierozzerwalnym z innymi klasami społecznymi.

„Wykształcenie pozwoliłoby mu ocenić należycie potrzeby jak najszybszego postępu we wszystkich dziedzinach gospodarstwa wiejskiego, a przykład jego działałby podobnie, tylko o wiele dodatniej i szybciej, niż dzisiaj działa przykład gospodarstw większych.

„Ceniąc sam zacność swego stanu, podnosiłby to poczucie i w całym swym bliższym i dalszym otoczeniu, uczyłby kochać prawdziwie ziemię i szanować, a wpajałby to przekonanie, że ziemia to nie przedmiot handlu, tylko najdroższa spuścizna po ojcach, której wyzywać się dla marnego zysku, to grzech i zbrodnia, że ponad każdy zysk cenić trzeba dobre imię, którego za pieniądze, choćby największe, nie nabędzie.

„Tacy przodownicy ludu, posiadający pełne jego zaufanie, którzyby z niego wyszli i wśród niego żyli, broniliby go równocześnie od wszelkich podszeptów owych „opiekunów”, którzy lud ten pragną zagarnąć pod swoją władzę, nie pytając, czy droga, na którą go wiodą, dla niego korzystniejsza, czy zgubą — a kierowali ku tym, którzy prawdziwie dobra jego pragną... I t. d.

Panu Ludwikowi Straszewiczowi, dzisiejsze traktowanie tej sprawy wydaje się — zbyt literackim, zapytuje też, czy można byłoby nazwać mądrym umieszczeniem i zużytkowaniem sił społecznych osiedlanie na kilku lub kilkunastu morgach gospodarki chłopskiej, ludzi z wyższym wykształceniem? Szanowny oponent obawia się również, że tłum wiejski w większości wypadków poniżej, wchłonie i zmarnuje odmienną od siebie jednostkę.

Chłopiec, kończący szkołę średnią ogólną, nie jest wcale zresztą potęgą, która potrafi stać się ogniskiem wiedzy kultury; trudno mu też będzie wznieść się nad środowisko i opanować je. Trudno przesądzać, czy potrafi on lepiej zaościć rolę osłabionymi beczynnością rękami, czy stóg zgrabniej ułożyć, czy kosą dziełniej zawinie? A te rzeczy przedewszystkiem zjednać mogą na wsi uznanie i posłuch. Wszelka nieudolność w głównej dziedzinie pracy wywoła śmiech i ogólne lekceważenie.

Zwraca też p. Straszewicz uwagę, że dźwignięcie całego stanu, tak bardzo licznego, najbardziej zachowawczego, przesydanego i nieufnego, nie zrobi się łatwo i prędko. W tym celu potrzebna jest wyteżona, wytrwała a celowa praca wielu, wielu pokoleń i wszelkich stanów.

Nawołuje tedy do zakładania szkół rolniczych chłopskich,

NAWOZY SZTUCZNE

NAJKORZYSTNIEJ NABYWAĆ

w Warsz. Tow. Akc. **Ludwik Spiess i Syn** w Warszawie.

ZAWIADOMIENIE

Nowo-otwarty został **Bar „SATYR”**

JEDYNY W SWOIM RODZAJU, **Marszałkowska Nr. 81a. Telef. 102-24.**

wydawania pism ludowych, uważa, że wielki wpływ powinny mieć kółka włościańskie, oddziaływać muszą wystawy, rozwój przemysłu ludowego i t. p.

Pozatem, pan Straszewicz wierzy w chłopskie dziecko. Wierzy, że stanie z niego dzielny kontynuator dziejowych usiłowań, że będzie tęgim, może najtęższym współpracownikiem warstw, jest jednak to dziecko chłopskie człowiekiem ze wszystkimi jego słabościami, ulega, jak wszyscy inni, podszeptom samolubnych ambicji. Bohaterstwo przecież jest zawsze wyjątkiem, można go pożądać, ale niewolno na nie rachować.

Kultura ducha ludzkiego, podobnie jak kultura roli, — wymaga czasu długiego.

* * *

Pan St. Kozicki, w uwagach swych o polityce polskiej w Dumie i ocenianiu pracy naszych posłów, przytacza ciekawe uwagi o działalności społecznej i prawnej wsi polskiej.

„Naród nasz znajduje się obecnie w wielce doniosłym okresie swego rozwoju, w chwili przeobrażenia się ze społeczeństwa szlacheckiego na społeczeństwo, w którym na pierwszy plan wysuwa się warstwa drobnych gospodarzy rolnych. Od czasu Jagiellonów, od czasów formowania się warstwy szlacheckiej i zagarniania przez nią w swe ręce steru Rzeczypospolitej, nie było tak doniosłego w życiu narodu momentu. To przeobrażenie społeczne odbywa się w niezmiernie ciężkich warunkach, gdyż niema najpotężniejszego regulatora, jakim jest państwo narodowe, tem niemniej zależy od jego przebiegu cała przyszłość nasza. Od tego, czy wytworzy się u nas zdrowa, społecznie silna, gospodarczo samodzielna warstwa rolnicza, zależy przyszłość nasza. Wszystko więc, co normalny rozwój przeobrażenia wsi naszej ułatwia i przyspiesza, ma pierwszorzędne znaczenie narodowe.“

„Wiadomo powszechnie, że pierwsze podstawy pod samodzielny byt włościaństwa dało uwłaszczenie. Wszelako było ono tylko pierwszym etapem, za którym nie dalsze, któreby go uzupełniły i wytworzyły odpowiednie warunki prawne i dały do rąk włościan te wszystkie narzędzia pracy zbiorowej, które we współczesnych stosunkach pracy zbiorowej są wprost niezbędne. Brak wolności politycznej, odsunięcie od samorządu, serwituty, szachownice, niemożność zakładania stowarzyszeń, utrudniona oświata ogólna i zawodowa — oto przeszkody, które przez pół wieku tamowały tak doniosły w życiu narodu proces przeobrażenia całego ustroju społecznego i moralnego wsi naszej.“

Oceniając pracę posłów polskich, pan Kozicki zaznacza:

„Dziś przeszkody te są w części usunięte, w naszej zaś mocy leży usuwanie ich dalsze i wytwarzanie

warunków pomyślnego rozwoju, tak doniosłego w życiu narodu procesu. Dzięki inicjatywie posłów polskich, mamy podstawy prawne do komasacji, przygotowuje się zaś likwidacja serwitutów i organizacja samorządu ziemskiego; trzy rzeczy, które wytworzyły niezbędne podstawy prawne do szerokiej i wielce ważnej dla naszej przyszłości pracy. Rozwiązanie zaś rąk do pracy społecznej i kulturalnej, i ułatwiania w zdobywaniu oświaty i wiedzy pozwalają na rozwinięcie działalności zbiorowej, tak pilnej i niezbędnej.“

„Kto zna życie wsi, kto wie, że interesy ludu wiejskiego to obecnie w najszerszym tego słowa znaczeniu interesy narodowe, ten zrozumie jasno, iż wyzyskanie ciał prawodawczych rosyjskich dla zdobycia niezbędnych podstaw prawnych, dla skutecznej działalności społecznej i gospodarczej wsi polskiej jest rzeczą niezbędną, ten widzi także, że najliczniejsza dziś w kraju warstwa — lud wiejski, który ma już świadomość polityczną, politykę realizacji powyższych zdobyczy w Dumie poprze, bo polityka taka służy jego najżywotniejszym interesom, polityka taka jest dla jego życia gospodarczego i dla rozwoju społecznego wprost niezbędna.“

* * *

W r. 1906, w obliczu ustawy pruskiej o wywłaszczeniu, odbył się w Poznaniu wiec obywatelski, w czasie którego zapadły następujące uchwały:

1) w obronie naszej siły liczebnej interes narodowy wymaga, abyśmy nie cofali się z okolic naszych siedzib odwiecznych w obrębie państwa pruskiego;

2) w obronie naszej siły materialnej interes narodowy wymaga, abyśmy nie cofali kapitałów z warsztatów pracy ekonomicznej społeczeństwa;

3) w obronie naszej siły moralnej interes narodowy nakłada na każdego bezwzględny obowiązek niepozbywania się ziemi w obce ręce.

Uchwały powyższe są przecież jasne; dyktowała je — przezorność, a jednak — nie wszędzie są należycie szanowane. Wprawdzie opinia publiczna piętnuje sprzedawczyków i liczba ich jest bardzo mała, zjawiają się wszakże od czasu do czasu.

Obecnie zdarzył się fakt odstąpienia od tych uchwał w kierunku, wręcz przeciwnym, i wywołał, wbrew powszechnemu zdziwieniu, okrzyki wielkiego uznania. Dowodzi to jedynie, że o prawdziwie trzeźwe poglądy na zasadnicze zagadnienia narodowe w społeczeństwie naszym nie jest zbyt łatwo.

Nam chodzić powinno przede wszystkim o utrzymanie ziemi w rękach polskich i nabywanie jej wszędzie tam, gdzie znajdują się siedziby odwieczne polskie. Tymczasem pewną firmę handlową w Poznańskiem spotkała ogólna owacja z racji

ZAWIADOMIENIE.

Po gruntownej i artystycznej przebudowie otwarto
RESTAURACJĘ W HOTELU ANGIELSKIM
(Wierzbowa Nr 6)

Z poważaniem **J. JORDAN.**

Telef.: bufet 5-90, sala 27-28, gabinety 20-74, szatnia 36-02.

**PADEREWSKI, KUBELIK, BATTISTINI,
ANZELMI** wykonali cały szereg nowych
utworów do gramofonu.

**PŁYTY DO NABYCIA W SKŁADZIE
B. RUDZKIEGO**
Marszałkowska 87.

L. LIPIŃSKI

Warszawa
Plac Teatralny Nr 7
Telefon 75-12

**MAGAZYN I FABRYKA
WYROBÓW JUBILERSKICH**

Brylanty, Rubiny,
Szmaragdy,
Szafiry i Perły.

nabycia dóbr Nassenheide pod Szczecinem. Rzecz prosta, że firma nabyła dobra w celach spekulacyjnych, co zresztą uczyniło by zapewne każde przedsiębiorstwo handlowe, pragnąc na takiej operacji w najkrótszym możliwie czasie zarobić. Nie należy jednak upatrywać w tem interesu narodowego, jakiż bowiem interes narodowy może mieć społeczeństwo polskie pod Szczecinem? Jest to ziemia czysto niemiecka, uprawiana i zamieszkała stale przez Niemców. W podobnie zupełnie nam obcych okolicach nie mamy nic do roboty i niewolno nam umieszczać tam swych kapitałów, tak bardzo potrzebnych na obronę zawsze zagrożonych placówek polskich w zaborze pruskim.

Nabywanie ziemi przez Polaków może mieć miejsce tylko tam, gdzie kraj posiada charakter polski, odwieczny, i gdzie są widoki utrzymania go, czy rozwinięcia.

W dodatku, w obozie hakatystycznym zdołano już rozdmuchać tę sprawę, wykazując ekspansję polską, jako siłę wielką i zuchwałą, sięgającą już — pod Szczecin! Pruska opinia publiczna jest tedy niemało przestraszona.

Nadzwyczaj logicznie rozpatruje tę sprawę w Kurjerze Warszawskim pan Konstanty Górnicki:

„Ekspansja jest wyrazem nadmiaru sił. Jako taka, może się ujawnić tylko wtedy, gdy rzeczom i sprawom w domu, u siebie, nic nie grozi poważniejszego, gdy można być pewnym, że się siedzi mocno na gruncie odwiecznym. Ale nawet i wówczas ekspansja, źle zrozumiana, może być marnowaniem energii i dobytku, potrzebnych i użytecznych w innym kierunku. Co tu jednak o tem mówić, skoro my nie posiadamy nietylko nadmiaru sił ekonomicznych, lecz przeciwnie, brak ich nam na utrzymanie tego, co było w naszych rękach już od setek lat. W Poznańskim i w Prusiech zachodnich cofnęliśmy się pod tym względem wskutek naszej słabości gospodarczej, bo przecież umowy sprzedażne były dotychczas dobrowolne; w Królestwie Polskiem koloniści niemieccy zajęli ogromne obszary gospodarki drobnej; specjalnie w Chełmszczyźnie grożą nam operacje, wyjątkowo protekcyjne, zapewnione rozwojowi własności ruskiej; na Litwie własność polska kurczy się stale.“

„Chcieć na Pomorzu niemieckiem, albo gdzieś w Witebszczyźnie robić Polskę, kiedy nasze bliższe interesy są tak mało zabezpieczone, jest to rzeczywiście chyba,

jak ktoś powiedział, — błagą polityczną. Żyją nią jeszcze, niestety, niektóre koła, ale ogół jest wiele bliższy prawdy, trzeźwości i rolnych interesów zbiorowych.“

Na dobro wsi demografia fizjologiczna zapisała obecnie — płodność.

Nie śmiejcie się czytelnicy!

Z tą płodnością niema żartów, zaczyna już bowiem zajmować sobą umysły w całej Europie.

Wiadomo każdemu, że o potęgę narodu świadczy ilość i jakość ludności, a tymczasem ludność ta widocznie się zmniejsza.

Zaczęło się to we Francji, w ślad za nią poszły Prusy, potem całe już Niemcy, nareszcie objaw ten zauważono, między innymi, i u nas.

Demografia fizjologiczna śledzi zmiany ilościowe, wynikające skutkiem rodzenia się i umierania, i wykazuje, że ilość urodzin w ostatnich czasach w całej Europie stale się zmniejsza.

Rządy niektórych państw, w słusznym przerażeniu o przyszłość ludzkości, starają się na drodze wywiadowczej i statystycznej zbadać przyczyny cofania się płodności. Przeprowadzono w różnych krajach liczne badania i wszędzie doprowadziły one do jednego wyniku, że objawu zmniejszenia się płodności nigdzie nie zanotowano na wsi.

A więc wieś górą!

Coprawda, wynik powyższy nikogo nie żdziwi, wzięwszy bowiem pod uwagę wszystkie czynniki, sprzyjające płodności, zrozumieć łatwo, dlaczego to wieś pod tym względem jest górą.

Lecz istnieje i odwrotna strona medalu.

Płodność i praca ściśle są ze sobą związane i od siebie zależne, gdyż żeby żyć — potrzeba mieszkania, ubrania i pożywienia. Dostarczyć tego wszystkiego jest w stanie — pieniądź, zdobywany przez pracę, bez której ludzkość istnieć by nie mogła.

Tymczasem, wskutek wielkiej płodności na wsi, gdzie zarobkowanie z natury rzeczy nie może dzisiaj zwiększać się w odpowiednim do płodności stosunku, część ludności wiejskiej zmuszona jest opuszczać wieś i przenosić się do miast. Przez przypływ ludności wiejskiej do miast zwiększa się zaofiarowanie pracy, której nie zawsze odpowiednią ilość mają miasta do dyspozycji, popada więc pewna część ludności

SKŁAD FABRYCZNY MEBLI GIĘTYCH BRACI THONET

Warszawa, Marszałkowska 141. Telefon 20-29.
Kompletne urządzenia apartamentów, willi, teatrów, zakładów gastronomicznych, klubów, etc.
Wielki wybór gotowych salonów, jadalni, sypialni i t. p. na składzie.

A. HERTEL

FABRYKA POWOZÓW

W WARSZAWIE, DŁUGA № 29.
TELEFON № 22-21.



Egzystuje od roku 1850

Najpierwsza krajowa fabryka POMP
Sikawek, Narzędzi ogniowych
i Aparatów assenizacyjnych

42 wyższe nagrody na wystaw. w Europie i Ameryce

Józef Troetzer i S^{KA}

Egzystuje od 1842 roku

W Pruszkowie
Biuro w Warszawie
ul. Hr. Berga 2

w biedę. I wtedy drożyzna najniezbędniejszych artykułów codziennego użytku, niehygieniczne warunki życia, złe odżywianie się i t. p. niekorzystnie oddziaływać muszą na płodność.

W sprawie tej dobry projekt podaje Kurjer Poznański.

Jedyny cel widzi w chronieniu ludności od proletaryzowania się, a nadto i przedewszystkiem w dostarczeniu jej zwiększonego zarobkowania na wsi. Dla tego należy koniecznie uprzemysłowić wieś polską. Osiągnąćby się to dało, czy to przez zakładanie fabryk i zakładów rękodzielniczych na wsiach, czy w inny jaki sposób. Tutaj otwiera się dla naszych Towarzystw Rolniczych nowe i wielkie pole pracy i zabiegów, w swych błogich skutkach nieobliczalne. — Z chwilą, gdyby udało się zarobkowanie na wsi zwiększyć, lud nasz nie czułby potrzeby wsi opuszczać, gdyż miałyby w niej pracę stałą oraz dostateczne utrzymanie dla swej rodziny.

Krakowski Komitet Jubileuszowy Skargi ogłasza, co następuje.

Dnia 27 Września przypada trzechsetna rocznica śmierci księdza Piotra Skargi. Z jego wspomnieniem łączy się cały wiek, w którym żył, i te trzy wieki, jakie Polska potem przeżyła, wieki coraz cięższych kolei, coraz straszniejszych nieszczęść, aż do tych, które dziś znosimy. Dla czego pamięć jednego człowieka budzi tak silnie, te wszystkie wspomnienia, wywołuje te obrazy, świetne nierzadko, bolesne zawsze, bo smutnie skończone? Dla tego, że on te smutne losy przewidywał, przepowiadał, przed nami przestrzegał, że „wcieliło się w to ciało, co tak cierpieć miało” — i że zrobił wszystko, co mógł, żeby naród swój od tego cierpienia uchronić. Dawał nam Bóg ludzi niemało znakomitych, dzielnych, królów, co państwa zakładali i granice jego rozszerzali, bohaterów, wojowników, co zwyciężali nieprzyjaciół, chrześcijaństwa bronili, co pracowali na to, by temu narodowi i państwu, tej Rzeczypospolitej zapewnić byt i bezpieczeństwo, potęgę i chwałę. Skarga nie wojował, zwycięstw nie odnosił, ale stoi w pierwszym rzędzie tych, którzy działali na utrwalenie i zabezpieczenie bytu, siły i przyszłości. Tamci bronili ich warunków politycznych politycznymi środkami, Skarga działał dla przyszłości narodu na wewnątrz. Wzmocnić siły, ubezpieczyć przyszłość przez moralne zdrowie. To jest sam rdzeń, to szpik kości społecznego i politycznego organizmu; gdzie ten dotknięty, gdzie skażony, tam fizyczna siła osłabnie prędzej, czy później, ale niechybnie. O to moralne zdrowie narodu, o ten warunek jego siły, nikt nie starał się lepiej, ani więcej, nikt tyle, co Skarga. Wielki sędzia i stróż narodowego sumienia, znał naród naskroś, widział, co w nim było złego, mądrym rozu-

mem przewidywał skutki tego złego, wielkiem sercem bolał nad tem, co przewidywał.

Żył w latach ważnego przesilenia, latach zwrotnych w dziejach ojczyzny; jak się ten zwrot dokona, jakim torem pójdą dalsze dzieje? Czuli to, pytali o to z trwogą wszyscy lepsi z jego współczesnych i dawniejszych; przestrzegali, radzili, prosili, grozili. Żaden tak, jak Skarga! On te niebezpieczeństwa, te troski, te złowróżbne przeczucia objął i zgłębił z najwyższą potęgą miłości i bólu, a wypowiedział z najwyższą potęgą słowem. Najczystszy duch polski w najwznioślejszym polskiem słowie! To jest Skarga! Nie mamy drugiego, któryby nam lepiej, mądrzej, piękniej mówił o naszej ojczyźnie i naszym względem niej obowiązku. Mickiewicz mówił o nim, że stoi na pograniczu dwóch epok: w jednej skupia w sobie i podnosi do najwyższej potęgi wszystkie dobre myśli i uczucia, w drugiej rzuca ponure groźne światło swoich przepowiedni. Te przepowiednie się sprawdziły, a my, kiedy nasz stan dzisiejszy i nasze przeszłe wieki rozpamiętywamy, musimy w gorczy serca wyznać, że byłoby inaczej, gdybyśmy go byli słuchali! Z żalnością też, z wyrzutem sumienia myślimy o Skardzie i trzechsetnej rocznicy jego śmierci; góujemy się do jej obchodu.

Nasze narodowe obchody są zawsze smutne, nawet obchody zwycięstwa, bo wywołują niemiłosierne porównanie przeszłości z teraźniejszością. Obchód Skargi także smutny być musi, bo nie możemy nie przyznać, że te choroby, które on przodkom naszym wyliczał, u nas są, a niektóre bodaj, czy nie gorsze, czy nie głębiej zakorzenione, niż za jego życia. Ale ten obchód potrzebny jest, a może się przydać, może mieć dobre skutki. Potrzebny, bo należy się i obowiązkiem naszym jest oddawać cześć wielkiemu słudze Boga i ojczyzny, wielkiemu miłośnikowi i nauczycielowi narodu, zaświadczyć, że Bogu i Kościołowi wierni jesteśmy i wierni być chcemy. Przydać się zaś, dobre skutki mieć może ten obchód, jeśli przystąpimy do niego z sercem skruszonym, ale i wysoko w górę podniesionem, jeżeli wyznamy przed Bogiem i przed Skargą, żeśmy się z chorób naszych nie uleczyli, ale, że leczyć się chcemy i starać się będziemy, — że jego słowa, jego nauki dla nas dziś, jak przed trzema wiekami stosowne i potrzebne, bierzemy do serca i trzymać się będziemy. W tym duchu obchodźmy rocznicę Skargi, to przy jego grobie sobie i jemu słu- bujemy; a w tym duchu, z tem przyrzeczeniem będziemy mogli z czystym sumieniem słowami Skargi się modlić: „W tych niebezpieczeństwach, Panie, Boże nasz, jako w wodach wielkich, wspomóż nas, a wyzwól!”

J. M.

BIURO MELIORACYI ROLNYCH ORAZ BUDOWY CEGIELNI I FABRYK DRENÓW.

INŻYNIEROWIE:

S. TURCZYNOWICZ, A. PONIKOWSKI, W. TROJANOWSKI i E. OSTROWSKI.

KREDYT MINISTERJUM ROLNICTWA I TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO.

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 108 (róg Chmielnej), tel. 115-02. — Oddziały: WILNO, Plac Katedralny № 12 (dom Bogdanowicza), MIŃSK-LITEWSKI „HOTEL-GARNI”, przedstawiciel inż. IWASZKIEWICZ.

Magazyn ubiorów męskich **E. ZAREMBA** w Warszawie, Nowosenatorska 4
Telefon 147-00.

Najlepszą Tekturę Smołowcową, Lak asfaltowy, Smołę gazową, Krycie dachów z długoletnią gwarancją i Roboty asfaltowe

Poleca:

Fabryka Tektury Smołowcowej i Asfaltu

STEFAN SOROKIEWICZ i S^{KA}

w Warszawie, Kantor: Plac Warecki 6 telef. 69-87, Fabryka: Okrąg № 6 telef. 70-87.

oooooooooooo Prобы, kosztorysy i cenniki na żądanie wysyłamy bezzwłocznie. ooooooooooooo

Z PIŚMIENICTWA.

„SZTUKA”.

pod redakcją HENRYKA JUSZKIEWICZA.

(Tom drugi: Wybór nieznanych poematów Z. Z. Idzikowskiego).

„Ze wszystkiego, co czytam lubię to tylko,
 „co krwią było pisane.
 „Pisz krwią, a dowiesz się, że krew jest
 „duchem...
 „Nie łatwo cudzą krew zrozumieć“.
 („Tako rzecze Zarastustra“
 Fr. Nietzsche).

Idzikowski kochał...

Kochał jak kochać umie tylko poeta...

Sercem całym, całej swej duszy młodej głębią,
 fibrami wszystkimi kochał...

„Ośnieżył mi cię kwieciami maj
 „W promiennych snów kolebce
 „O tobie szumi dla mnie gaj
 „I zdrój kryształny szepce...
 „O tobie bżów szeleści biel
 „Anielskich słów zakłęcie
 „I drży słowika cudny trel
 „Po łzawych ros djamencie...
 „A moją duszę dziwny lęk
 „Na srebrnych mgłach kolebie
 „Gdy wśród tęczowych marzeń wstęę
 „Słoneczną ujrzę ciebie...
 „Złudny snujesz szczęścia myt
 „I koisz serca burze,
 „Że się rozpala jasny świt
 „I zakwitają róże...
 (Muzyka Feliksa Starczewskiego).

Ile w tych słowach umiłowania! Lecz i łyzy w nich
 są i lęk. Lęk utracenia, niewiary w przyszłe wspól-
 ne życie.A potem, potem czytajcie owe, *krwią pisane* roz-
 mowy z duszą własną, okropnie nękaną i z tą,
 „o której szumił mu gaj...”

„Pragnę — w żarze...
 krew moja staje się żałobą. “

„Źródło“.

I dalej:

„Ach jakie różne myśli — nie podobne...
 „Niby z dwóch urn wyjęte słów wyroczenie:

„ty ptak szalony — co dzisiaj nie spocznie —
 ja uśmiechnięty — jak lampy nadgrobnne...
 „Ach, jakie różne myśli“.

Jak kochał czytajcie na str. 88-ej i 89-ej potem
 zaś na 104-ej:

...A tak nasz polski głóg kocham panienko
 i tak orlicę marzę z sinem okiem!
 Zbudował bym jej gniazdo śmiałą ręką
 tam nad huczącym we światy potokiem
 całe w głogowych pachniejących różach
 Cóż — gdy tak mało w tobie jest szaleństwa
 Wichrów słonecznych! nie śniesz o podróbach
 w białych masztowcach w noc niebezpieczeństwa —
 ani o takich wspaniałych się na góry
 kiedy tchu braknie i serce rozpęka!..
 Cenisz koronki i białe ażury
 białe szmateczki i rembrandtów denka...

Krwia serdeczną pisane i oblane nie jedną łą,
 nie jednym djamentem uczucia opadłe kartki, po-
 zbierał przyjaciel i poświęcił im niemal trzy czwarte
 drugiego tomu wytwornego pisma swego...W Idzikowskim, który, tak kochając i w tem
 swem, to głębin to gwiazd sięgającym uczuciu, żarząc
 spalając się — zginął tak nagle i tak tragicznie,
 kochając do ostatniego swego tchnienia, w Zy-
 gmuncie Zenonie Idzikowskim, nie było nic tanie-
 go, nie było bodaj ani jednego słowa nie przeży-
 tego, nie okupionego łzami, miłującego prawdziwie
mężczyzny, poety-szaleńca.Tu i owdzie niespodziankowe zwroty lub neo-
 logizmy rażą, drażnią, ale wszystkie te słowa
 w poematy bezgranicznie smutne powiązane, są
 tak nie codzienne tak nie mdłe — (codziennych
 i.. niecodziennych pism żer!) — że zapomina mu
 się te usterki...

„Jestem i kocham, to moje istnienie
 między gwiazdami i skryptu foljałem“...

pisał o sobie... A dziś... Dziś, gdy go niema,
 z dziwnym rozrzewnieniem odkładamy książkę,
 która nam duszę jego bezdennie smutną, bezna-
 dziejną tłumaczy...

HENRYK LEŚNIEWSKI.

KAKAO OWSIANE JANA FRUZIŃSKIEGO

Zalecane przez pp. lekarzy, jako bardzo pożywne, lekko strawne, dla dzieci i osób
 cierpiących na żołądek. — Najodpowiedniejsze pożywienie na pierwsze śniadanie.

SPRZEDAŻ W PIERWSZORZĘDNYCH HANDLACH
 I MAGAZYNACH WŁASNYCH

MARSZAŁKOWSKA 135,
 KRAKOWSKIE PRZEDM. 5,
 WIERZBOWA 8. □ □ □

Z dziedziny kosmetyki i higieny.

ODPOWIEDZI I RADY.

Ali N. Wągrzy trzeba koniecznie usunąć mechanicznie, gdyż pozostając w skórze coraz więcej pogłębiają się i rozszerzają pory; skutecznią to w Kalotechnice, Marszałkowska № 116, telef. 16-73, a ręczę że będzie Sz. Pani zadowolona z rezultatu.

Przez jakiś czas wycierać twarz płynem Vesta oraz myć się perełkami alkalicznymi, a cera się oczyści, odłuszczy i wągrzy się nie odnowią.

Pensjonarce. Korzystając z lata, myć często głowę mydłem płynnym Antrasolowem, a łupież zginie bezpowrotnie i włosy się wzmocnią. Przy wrażliwej cerze myć się Otrąbkami Vesta z wodą różaną radjowaną.

Otyłej. Herbata D-ra Daloffa oraz pigułki Oxylenowe używane stale przez trzy miesiące, usuną nadmierną tuszę. Obydwa te środki są dla zdrowia absolutnie nieszkodliwe. Oprócz tego zalecić mogą masaż całego ciała Autowibratorem D-ra Johansena. Włosy siwe na kolor czarny najtrwalej barwi farba D-ra Phonseca.

Dbatej. Manicure b. staranne zrobią Sz. Pani w Kalotechnice. Tam też przyjmuje się włosy do analizy lekarskiej. Porady lekarskie codzień od 4—6. Jako najhygieniczniejszy puder do twarzy, polecam puder Vesta, przylega niedostrzegalnie i nie niszczy naskórka.

Zmartwionemu. Płukać usta i zęby Elixirem Radjowym znakomicie odkażającym jamę ustną i konserwującym zęby.

Wszystkie te środki posiada na składzie Kalotechnika oraz wysyła za zaliczką pocztową. W Łodzi Spiess, w Wilnie Grużewski, w Kijowie Jurotat, w Krakowie Miklaszewski pl. Dominikański № 1, we Lwowie Pawłowski, w Lublinie Bernatowicz. Listy z zapytaniami do mnie proszę adresować do redakcji z dopiskiem „dział Kosmetyczny.” M-me LENA

**DOM BANKOWY
T. SZEMPLIŃSKI i S-ka
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT № 40.**

Kupno — sprzedaż papierów procent., akcji, asekuracja.
WSZELKIE INTERESY BANKIERSKIE.

Budowniczy posiadający 13-to letnią praktykę oraz chlubne świadectwa i rekomendacje osób i firm poważnych poszukuje posady przy wznoszeniu nowych i konserwacji istniejących budynków w do-
brach ziemskich lub fabryce.

Łaskawe oferty do Redakcji.



BIURO URZĄDZEŃ ELEKTRYCZNYCH

WACŁAW BRYGIEWICZ, MICHAŁ ZUCKER i S-ka

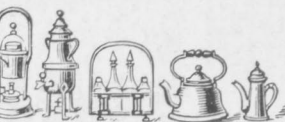
WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 119. (TEL. 37-40).

ADRES TELEGR.: „BEZE”

INSTALACJE, OŚWIETLENIE, MOTORY.
ZASTOSOWANIE ELEKTRYCZNOŚCI W ROLNICTWIE.
DOSTAWA ARTYKULÓW ELEKTROTECHNICZNYCH.

TRZY DYPLOMY UZNANIA

FIRMA EGZYST. od 1871



Łóżka, Łóżeczka niklowane mosiężne i żelazne.

Materace druciane i tapicerskie.

Kołdry wełniane i atlasowe.

Umywalnie i garnitury do nich.

Toalety i Szafki nocne.

Wózki i Welocypedy dziecięce.

Wieszadła do ubrań ściennie i stojące.

Meble ogrodowe, stoły, ławki, krzesła.

Lodownie pokojowe, Wanny, Prysznice

Kłozety pokojowe, Kubły, Konewki.

Kasetki do pieniędzy i biżuterji.

Prasy do kopjowania listów.

Kompletne wyprawy kuchenne: niklowe, aluminiowe, miedziane, emaljowane i z porcelany ogniotrwałej „L'aluminite”.

POLECA W WIELKIM WYBORZE PO CENACH FABRYCZNYCH

NOWOŚĆ!!!

**Fotele i kozetki rozkładane
zastępujące wygodne łóżka.**

Maszynki do kawy i herbaty.

Samowary spirytusowe i do węgla.

Serwisy do octu i oliwy.

Maselniczki. Kompotjerki.

Tace niklowe i drewniane.

łyżki, Noże, Widelce

Lichtarze i popielniczki.

Maszynki spirytusowe i naftowe.

Filtry. Maszynki do lodów.

Wyżymaczki. Magle.

Pralnie „Całą Parą Johna”.

Kotły, żelazka do prasowania.

Garnitury biurkowe.

WŁADYSŁAW GOSTYŃSKI

w Warszawie, Wierzbowa № 3, tel. № 14-85.

Skład Fabryczny
Tow. Akc. Wł. GOSTYŃSKI i S-ka



Lucyna Messal.

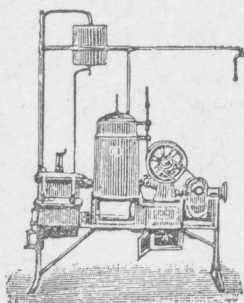
LUCYNA MESSALwychodzi
na**PATHEFONIE**znakomicie, czysto, głośno
i absolutnie naturalnie.

Nowe nagrania nadeszły.

GŁÓWNY SKŁAD

ADAM KLIMKIEWICZ**WARSZAWA, WIERZBOWA 8****BIURO MELIORACYJNE
INŻ. OTMIANOWSKIEGO**Warszawa, Koszykowa 19, Telefon
237-10.Drenowanie, Melioracja łąk, Gosp.
Rybne, Uprawa i Eksploat. Torfów.

Referencje z robót wyk. w kraju i Ks. Poznańskim.

Najtańsze i najpraktyczniej-
sze OŚWIETLENIE dworów,
pałaców, kościołów i hoteli
GAZEM POWIETRZNYMKOSZT ŚWIATŁA PALNIKA
o sile 50 świec— $\frac{1}{3}$ kop. na godz.
Gaz powietrzny nie wybucha,
nie zużywa tlenu powietrza w po-koju, nie wydaje kopciui ani swędu, czyli jest równie przy-
jemny i higieniczny jak elektryczność, lecz bez por-
ównania tańszy. Kompletne urządzenie oświetlenia
i ogrzewania gazem powietrznym przy zastosowaniu
najnowszych angielskich aparatów zaprowadza**„PROMIEN”**Instalacje Oświetleń i Biuro Techniczne
WARSZAWA, Trębacka 2 (róg Krakows.-Przedm.)

Prospekty i kosztorysy na żądanie bezpłatnie.

Prosimy o odwiedzenie naszego biura dla obejrzenia aparatu w ruchu.

Fabryka wyrobów stolarskich

Adama Jaszczołta

Kaliksta 10, tel. 985.

Wielki wybór mebli gotowych
przy fabryce.**RESTITUTIONS FLUID** Apteka W. BOROWSKIEGO
w WARSZAWIE, ul. Przejazd. Tel. 3943.PŁYN ODŻYWCZY RESTYTUCYJNY wzmacniający członki tudzież
przeciw słabościom reumatycznym oraz wszelkim stłuczeniom. ooo**SZKOŁA J. PIOTROWSKIEGO**

przy ul. Nowy-Świat № 31

≡ (dawniej ul. SADOWA № 10) ≡

przygotowuje chłopców od lat 7-miu do
szkół średnich.**PENSIJONAT** dla swoich i obcych
uczniów z korepe-
tycjami 400 rubli.**Neurastenję**podniecenie nerwowe, ogólne znużenie, migrenę,
histerję i nerwową bezsenność leczy gruntownie**„D-ra R. Weil'a Epilepticon”**Żądać tylko w małych $\frac{1}{4}$ pudełkach; cena
rb. 1.20. W sprzedaży we wszystkich apte-
kach i większych składach aptecznych.

Jeneralni reprezentanci na Cesarstwo i Królestwo:

TREUTLER & BERNHARDT, Warszawa, Boduena 3.

Szczegółowy opis użycia dołączamy do każd. pudełka.

„KRYSTAŁ”

NAFTA NAJWYŻSZEGO GATUNKU

W BLASZANKACH

T-wo B-ci Nobel, Baku**Warszawa, Niecała Nr 4**

□ □ TELEFONY 223-20 i 223-40. □ □



WIEŚ

ILUSTROWANA

WRZESIEŃ-1912



FIRANKI **DIWANY** Materje meblowe
PORTJERY

Własnej fabryki

Z. Kiltynowicz

N° 16 (wprost
Erywańskiej)

ul. Mazowiecka N° 16.

SZKOŁA KOEDUKACYJNA W ZAKOPANEM.

Zbliżająca się jesień każe nam myśleć o nauce dla dzieci. To też wszelka zdobycz w dziedzinie szkolnictwa w tym zwłaszcza okresie, specjalnej dla nas nabiera wartości.

Z radością notujemy fakt istnienia w Zakopanem szkoły koedukacyjnej Z. i K. Praussów.

Uczelnia ta przez rok istnienia jak najpiękniejsza wzbudziła nadzieje. W tym roku szkolnym przeniesiono do obszernego ze wszelkimi udogodnieniami nowozbudowanego domu przy zbiegu ulic Marszał. i Sienkiewicza — pełna słońca i światła, zgromadzi niezawodnie liczny zastęp dzieci ze wszystkich dzielnic Polski.

Pomyślał o tym, dbały o rozwój szkoły zarząd, i program szkoły, składającej się z 4 klas przygotowawczych dla dzieci od lat 6-ciu do 10-ciu, oraz czterech gimnazjalnych ułożył tak, by oprócz zakresu nauk wspólnych wszystkim typom szkół średnich, przez wprowadzenie nadobowiązkowej nauki rosyjskiego, francuskiego, języków starożytnych, wszystkie dzieci przybywające do Zakopanego mogły w tej szkole z pożytkiem dalej swe prace naukowe prowadzić.

Niepoślednią też troską, kierowników stało się

wyzyskanie wyjątkowych warunków miejscowych w celu zespolenia dziatwy z przyrodą i zapewnienia jej najpełniejszego fizycznego rozwoju. Pierwszym warunkiem higieny szkolnej są w uczelni tej obszerne klasy, bardzo nieliczne (najwyższa ilość dzieci dobież może tylko 12-tu), dalej oszklone, zaopatrzone odpowiednio warandy, gdzie się nauka w słońcu wprost i powietrzu odbywa.

Gimnastyka, sporty, wycieczki przyrodnicze w lecie; narciarstwo i saneczkowanie w zimie, jako podwaliną fizycznego rozwoju dziecka, sposób nabrania sił i zdrowia, leży w programie szkolnym.

Przy szkole znajduje się internat pod opieką lekarską będący, przeznaczony dla dzieci przyjezdnych, — słabowitych z wykluczeniem jednak chorzych zaraźliwie, o czym rozstrzyga komisja lekarska.

Zarząd szkoły wydał ciekawą broszurkę, która może stanowić wyczerpujące dopełnienie tej pobieżnej notatki — dostać ją można w Warsz. w księgarniach, lub otrzymać drogą pocztową na żądanie od zarządu szkoły (Zakopane, szkoła koedukacyjna Z. i K. Praussów).

Przypuszczamy, że niejedyn ojciec lub matka, z ulgą się dowie, że dziecka swego nie potrzebuje wieść w dalekie, obce kraje; że go nasze rodzime słońce i tchnień ożywcze, wolnych przestworów ziemi naszej wzmocni, uleczy i wykształci.

MEBLE wszelkich stylów i epok

na składzie

Całkowite urządzenia mieszkań

LUDWIK ORTHWEIN

**WARSZAWA,
Mazowiecka 2.
Telefonu Nr 34-59.**